

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

NR 15 (1751) 12-18 kwietnia 2024
CENA 7,90 zł w tym 8% VAT



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

♦ Zwycięstwo w wyborach samorządowych ogłosili – jak to bywa ostatnio – wszyscy z wyjątkiem Konfederacji, która wszakże cieszyła się, że spuściła wpierdół lewicy. Lewica, której wyniki od zjednoczenia w 2019 r. znajdują się na równi pochyłej – w niedzielę zdobyła osiem mandatów w sejmikach w całej Polsce – świętowała fakt, że Magdalena Biejat dostała w Warszawie trzecie miejsce i kilkanaście procent głosów. „To jest najlepszy wynik dla lewicy od bardzo wielu lat” – ogłosił Czarzasty, a Biedroń dodał, że „dała nam przykład Magda, jak zwyciężać mamy”. Fakt, że formacja, która dwukrotnie wygrała wybory, współtworzyła pięć rządów, miała w swoich szeregach prezydenta i czterech premierów, raduje się teraz, że ma dwie cyferki w wyniku, wydaje się cokolwiek smutny.

♦ „Dzisiaj mogę ogłosić w imieniu Polek i Polaków, którzy wierzą w swoje siły, że 15 października powtórzył się także w kwietniu” – radośnie poinformował Donald Tusk i miał rację: Koalicja Obywatelska znowu przegrała z PiS, który wybory do sejmików wygrał z wynikiem 34,27 proc. głosów – o prawie 4 punkty więcej niż platformerskie 30,59 proc. Jarosław Kaczyński, wyraźnie podniesiony na duchu faktem, że podważanie jego przywództwa znowu zrobiło się ryzykowne, popadł w nastrój krótkochwilny: „Jak to kiedyś Mike Twain powiedział: »Wiedomość o mojej śmierci jest cokolwiek przedwczesna«”. Twain miał na imię Mark, a cytował brzmiał: „Doniesienie o mojej śmierci było egzageracją”, ale generalnie wiemy, o co prezesowi chodziło.

♦ Wiemy także, co tak uradowało Donalda Tuska, którego formacja nie wygrała z PiS, ale jest na najlepszej drodze do zmarginalizowania koalicjantów. Zwłaszcza lewicy. Onet przeprowadził symulację, z której wynika, że gdyby wybory samorządowe były parlamentarnymi, KO miałaby większość tylko z Trzecią Drogą, zaś 17 posłów, których zdobyłaby teraz lewica, byłoby jej zbędnych. Do kompletu Tusk zapowiedział, że „na 99 procent” KO do wyborów europejskich pójdzie sama. Lewica postanowiła pokazać, że się nie będzie prosić i jako pierwsza zarejestrowała swój komitet wyborczy do PE. To godne uniesienie nie przeszkadza jednak politykom lewicy chodzić do mediów ze skargą na większych kolegów. Ponoć już w wieczór wyborczy Trzecia Droga zażądała, żeby lewica oddała jeden z resortów, bo jak nie, to Czarzasty nie dostanie marszałka. Do wyboru ma ponoć naukę i pracę. Podpowiadamy: z ministra Wieczorka można zrezygnować bez straty.

♦ Marszałek Hołownia wystąpił na przedsejmowej konferencji prasowej i ogłosił, że nadal jest bardzo zadowolony z faktu, że przelożył procedowanie projektów aborcyjnych, bo „7 czy 8 marca wyszlibyśmy z sejmu z tymi wszystkimi projektami w koszu”. Co do tego, gdzie wylądają projekty po 11 kwietnia, marszałek wiedzy nie miał, ale miał za to inne ważne rzeczy do ogłoszenia, sejm czekają bowiem doniesłe wydarzenia: „uroczystości związane ze świętem flagi”; „Piknik Europejski z udziałem ambasad państw Unii Europejskiej”; „gra miejska, która pozwoli nam odkrywać ambasad i kraje, które reprezentują”; a także „premiera naszej aplikacji konstytucyjnej” oraz „bardzo fajna premiera książkowa robiona z bardzo fajnym wydawnictwem »Dwie Siostry«, które na pewno znają »państwo, którzy mają dzieci«”. Powaga sejmu pod światłym przywództwem marszałka Hołowni rośnie z tygodnia na tydzień.

♦ W 14. rocznicę katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem odbyły się tradycyjne przepychanki między wspominającymi tych, którzy „zginęli” a oddającymi cześć „poległym”. Antysmoleński aktywista Zbigniew Komosa próbował tradycyjnie złożyć pod pomnikiem smoleńskim wieniec ku „pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego, który, ignorując wszelkie procedury, nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach”. Dostęp do pomnika bronili posłowie Marek Suski i Anita Czerwińska, którzy uznali, że Komosa z kolegami „propagują wersję Putina”, na co usłyszeli, że „pisowskie bydlę znowu kradnie nasz wieniec”. Zwaśnione strony usiłował pogodzić w godnej mowie prezydent Duda: „Dzisiaj pamiętamy o tych, którzy tamtego strasznego dnia, tamtą straszną sobotę, lecieli, by oddać hołd oficerom i także oddali życie za ojczyznę, tak mówimy, w służbie dla ojczyzny”. Czyli zginęli, ale jednak trochę polegli.

♦ W tygodniku „Wprost” nasz stary przyjaciel, generał Waldemar Skrzypczak, daje głos rozsądku i umiarkowania. „Czas na pobór w Polsce?” – zapytuje i sam sobie odpowiada: „Nie mamy wyjścia”. Czytamy z przejęciem: „Ambasador USA w NATO jednoznacznie stwierdziła, że Stany Zjednoczone »nie dostrzegają bezpośredniego zagrożenia dla terytorium NATO ze strony Rosji«”. Jakie wnioski wyciąga z tego generał? „Sądzić zatem należy, że gremia polityczne i wojskowe Sojuszu odpowiednio wcześniej ogłaszają potencjalne zagrożenie swoim członkom, aby ostrzec ich i rozpocząć realne przygotowania według opracowanych wcześniej planów”. Bo zagrożenie nastąpi i furda tam jednoznaczne amerykańskie zapewnienia. Gen. Skrzypczak jest naszym starym przyjacielem, bo swego czasu tygodnik „NIE” towarzyszył mu z entuzjazmem w rozlicznych podbojach miłosnych, jakich dokonywał na Sympatii, za pomocą profilu „Waldek Irak”. Gdzie te czasy?

AWŁ

Z URNY URBANA

Wybory za wyborami i wyborami poganiają. Koalicje, koalicjki, partie, partyjki, wodzowie, przewodniczący, liderzy... Jeżeli chwilowo macie dość naszej sceny politycznej, odechnijcie przy refleksji Urbana z lutego 2008 r.

Fikuśni

W 100 dni pan Napoleon B. zajął Francję, zniszczył burbońską restaurację, wyrzucił jej główne dania, dostał wielkiej szczeni i przegrał nie mniejszą od niej bitwę. W swoje 100 dni pan Donald zajął willę premierów w Warszawie i mało co zrobił ponadto. Pomimo to już kombinuje, jak władzę, którą ma obecny premier Tusk, oddać przyszłemu prezydentowi Tuszkowi. Może się na tym nieźle poślizgnąć.

Konstytucja RP miejscami jest zupełnie idiotyczna. Np. premier, niechby Tusk, może w poniedziałek uzyskać w parlamencie poparcie dla programu i składu swojego rządu. We wtorek zaś ten rząd zwołać i powiedzieć ministrom: w ogóle nie podobają mi się wasze wredne mordy. Poszli won! Zaczem pojechać choćby do domu wariatów i w śróde sformować z nich nowy gabinet w ogóle nie pytając sejmu o zdanie. Tenże premier bez zgody gabinetu nominuje ze dwie setki najważniejszych dygnitarzy państwa, jako szef większości parlamentarnej decyduje o tym, kogo izby wybiorą na marszałków, a jako szef partii przesądza, kogo wyborcy wybiorą na przyszłych posłów z ramienia jego Platformy.

Gdyby nadmiar władzy, jaki posiada premier (nie wybierany przecież imiennie przez ogół), przenieść na konstytucyjną, to rzecz prezydenta i połączony z jego dotychczasowymi uprawnieniami, Tusk ustanowiłby w Polsce ustrój wzorowany na Rosji. A przecież nie, co rosyjskie, nie smakuje warszawskim władzom, od kiedy kawior jej się przejadł. Tak więc polskiej konstytucji, chociaż miejscami idiotyczna, lepiej nie ruszać, a jeśli już, to po to, aby

ustanowić ustrój parlamentarny. Przy 5- lub 8-procentowym progu wchodzenia do Sejmu nie groziłaby nam anarchia. Wzmacniając prezydenturę, Tusk mógłby zaś niechętnie zapewnić dyktaturę swemu wrogowi, przed którego wdzięcznością i w Gdańsku się nie schowa. Dzisiejsze wskaźniki popularności nie są bowiem dobrą wskazówką, jaki nastanie rozkład sympatii za blisko trzy lata.

Poza historykami teatru i wieczyście zawistną korporacją aktorów nikt nie pamięta, kto za jego życia najlepiej rznął Hamleta, kto wspiął się na najwyższe koturny bredząc mickiewiczowską Improwizację, czy król Lear był najbardziej ślepy i kto najlepiej udawał prochińskiego dziennikarza na prywatce Wypiańskiego. Każdy natomiast członek rechetliwego narodu polskiego rozpoznaje z radością Jasia Fasolę, a kto stary, to Fernandela czy Pata i Patachona. Polak ma w pamięci Piszczyka, Anioła stróża od Barei, Pawlaka i Kargula, grającego w „Rejsie” Himilsbacha, pana Kiepskiego z rodziną. Zwykły obywatel pamięta tylko swych rozweselaczy.

Nastąpiła otóż niebezpieczna przemiana w sposobie postrzegania Bliźniaków przez szukające rozrywki społeczeństwo. Jarosław Groźny przemienił się w Jarka Komika. Lech Nadęty wywołuje kolki z wesołości. Polska to cyrk na 40 milionów zadów, a w nim fika duo Patachonów.

Prezydent Rzeczypospolitej w całym swoim pokracznym majestacie nie potrafi wymówić nazwiska trenera futbolowego, do którego przedszkolaki odmawiają wieczorne ojcz-

nasz. Żywe wcielenie Najjaśniejszej ma wciąż minę, jak gdyby zbierało się zrobić kupę. Gazety donoszą o wianuszkach matkujących mu kobiet, o kelnerach podających prezydentowi kieliszek wody, żeby mu goleń nie spuchła lub też aby wzorem poprzednika nie pozdrowił Saby Dorn w miejsce królowej angielskiej. Z menu Pałacu podobno wyrzucano kartofle, gdyż lokator, jedząc, myślałby, że pożera brata swego. Gazety piszą też o telefonowaniu z konferencji prezydentów europejskich do Jarosława bliźniaka, żeby brata zapytać, czy wolno mu wyjść na siusiu. Niektórzy dziennikarze wskazują też na potrzebę wzmocnienia profesury Lecha Kaczyńskiego kursem pisania i czytania. Recenzenci poczynają Główni Polski ganiają ją za wzniosłe nauczanie prezydentów pomniejszych krajów, że mają stulić jadaczkę i słuchać Lecha Polskiego, bo przez niego przemawia 40-milionowy naród, a imię jego czterdzieści i cztery. W tymże zaś czasie Jarosław dawniej Groźny owiany miłością posła Kurskiego, otoczony wiankiem młodego aktyw wreszcie na wiecach swojej klaki grozić wszystkim obywatelom, że powróci do władzy. Widownia to lubi.

Znudzony naród polski „spieprzaj, dziadu” mówi tym, którzy radzi by poderwać go do wzlotów. Kocha on tylko facetów śmiesznych, zdolnych go rozbawić. Głód rozrywki sprawi więc, że Lech Kaczyński będzie powtórnie wybrany prezydentem. My, naród polski, wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, nie pozwolimy bowiem przerwać w połowie ulubionego serialu komediowego. Ma trwać aż do naturalnej śmierci. I jeszcze społeczeństwu należy się na deser rechocik w życiu pozagrobowym, ale jaja miserere.

URBAN

TRYBUNA LUDZI

Jak oceniacie kondycję Lewicy?

Facebook

Bartek Orzeł: Ziobro zdrowy udaje chorego. Lewica odwrotnie.

Bartek Orzeł: Chujowo, ale stabilnie.

Daniel Len: Ciut lepsza niż Urbana.

Andrzej Żmuda: Najważniejsze, że PiS-owi spada. A nie, czekaj...

Marcin Grochala: Może i mają słabe wyniki, ale przynajmniej się nie starają.

Amadeusz Andrzejewski: Biorą udział, ale nie wchodzą. Zupełnie jak jaja w trakcie stosunku.

Jarosław Soborski: Bardzo dobrze. Dostatecznie.

Michał Pietrzak: Kolka po lewej stronie.

Michał Mazurkiewicz: Tak jak polskiego rolnictwa.

Maciej Dadej: Czego?

Michał Okta: Jest już w odwrocie, nie należy się jej obawiać.

Krzysiek Łukomski: Trochę Najmanem daje.

Jacek Spychalski: Kondycja lewicy: leży i kwiczy.

Forum

Tu154m: Sztandar wyprowadzić!

PRASA ŚNIADANIOWA

- W Kaliszu rozpocznie się dziewięciomiesięczna **Nowenna do Maryi rozwiązującej węzły**. Kto chce szybciej rozwiązywać węzły, niech idzie na kurs żeglarski.
- W związku z problemami z emisją Radia Maryja **Tadeusz Rydzik** prosi o modlitwę i czuwanie. Modlitwy należy kierować do Wielkiego Serwera.
- **Krzysztof Bosak** powiedział, że rząd w sprawie trutki na dzieci odpowiedzialność chce przerzucić na farmaceutów. Ponieważ trutki będą zrzucane w okolicach szkół i przedszkoli, radzimy uważać na pieski.
- **Szymon Hołownia** stwierdził, że umowa koalicyjna to nie jest Pismo Święte. A marszałek sejmu nie jest mesjaszem.
- W **Świątyni Opatrzności Bożej** trwają zdjęcia do filmu sci-fi. Wypisz, wymaluj to Pałac Jabby.
- W Niedzielę Miłosierdzia Bożego ruszyła **Duchowa Adopcja Małżeństw w Kryzysie**. Każda para zostanie adoptowana przez jednego mecenasa.

MARTA M.



Fys: TOMASZ WIATER

Nie jesteśmy całkiem w Unii Europejskiej nie tylko dlatego, że nie mamy euro. Nie należymy do Europy, bo nigdy nie przyjęliśmy w całości Karty Praw Podstawowych UE. A to stąd, że zdaniem rządzącego dawno temu PiS, karta niszczyła fundamenty wszystkiego, co składało się na tożsamość narodu polskiego i matki jego Kościoła.

Żeby karty nie podpisać, wykpiiono się czymś, co nosi nazwę protokołu brytyjskiego. Został on w 2007 r. podpisany przez Brytyjczyków, Polaków i Czechów. A mówi, że tym trzem nacjom obywatelskie prawa podstawowe latają koło gonad. Właściwie latały, bo dziś jedynym państwem-stroną protokołu jest Rzeczpospolita Polska.

Nie będzie Unia...

Protokół jest krótki. Składa się z dwóch artykułów liczących sobie trzy pogmatwane zdania. Gdyby je przetłumaczyć na polski, wyszłoby, że:

– żadnemu sądowi europejskiemu nie wolno stwierdzić, że prawo obowiązujące w Polsce jest niezgodne z prawami, wolnościami i zasadami, które są wymienione w karcie,

– nie, co zawarte jest w tytule karty, nie stwarza praw, które mogą być dochodzone na drodze sądowej, mających zastosowanie do Polski, chyba że Polska przewidziała takie prawa w swoim prawie krajowym,

– jeśli zaś jakiś zapis karty odnosi się do prawa polskiego, to ma on zastosowanie wyłącznie w zakresie, w jakim to prawo jest uznawane przez obowiązujące w Polsce przepisy.

Najkrócej mówiąc, pokazaliśmy Unii wyprostowany palec środkowy, wskazując, w co powinien on trafić, by zetknąć się z Kartą Praw Podstawowych, no i wyrokami europejskich trybunałów.

Do protokołu brytyjskiego Polska przystąpiła trzy dni przed wyborami parlamentarnymi w roku 2007. Wyborami, które wygrał faciet zapowiadający przez całą kampanię wyborczą, że marzeniem jego i jego partii jest przyjęcie przez Polskę Karty Praw Podstawowych. Facet nazywał się Donald Tusk.

Żeby tam tylko przez kampanię... Tusk powtórzył to kilkakrotnie po wygranych wyborach. Zapowiadał, że już za chwileczkę, już za momentik... Zawtórowali mu inni notable PO, Helsińska Fundacja Praw Człowieka, desygnowany na stołek marszałka sejmiku Bronisław Komorowski oraz – co interesujące – NSZZ Solidarność.

Farbowane wartości

Entuzjazm Tuska i jego kompanów sprawił, że 23 listopada 2007 r. w exposé premiera padło oświadczenie, że rząd podpisze traktat reformujący, ale z uwzględnieniem protokołu brytyjskiego o ograniczeniu stosowania Karty Praw Podstawowych w Polsce.

Okej, pomyślała nieprawicowa ludność Polski. Tusk musi tak zrobić, bo urzędujący prezydent bliźniak wypnie się na traktat libzoński i będzie obciach na całą Europę. Ale jak tylko zmieni się prezydent, to...

Tyle że 17 marca 2008 r. rada legislacyjna działająca przy tuskowej Kancelarii Prezesa Rady Ministrów stwierdziła, że protokół brytyjski:

„1. Uniemożliwi wnoszenie do TSUE przez Komisję Europejską lub inne państwo członkowskie skarg przeciwko Polsce o naruszenie KPP.

2. Podważy kompetencje sądów krajowych do wnoszenia pytań prejudycjalnych w zakresie, w jakim mogłyby doprowadzić do niezgodności prawa krajowego z KPP.

3. Zakazuje TSUE stwierdzenia istnienia sprzeczności między systemem prawa krajowego i KPP”. Znaczy, że jak się jest podpisanym pod protokołem brytyjskim, to się w Unii właściwie nie jest.

Prezydent zmienił się po 2,5 roku. Został nim gorący orędownik karty – Komorowski. Można było nareszcie wyjść z protokołu brytyjskiego i stać się Europejczykami pełną gębą. Były jednak sprawy ważniejsze. Tak ważne, że nikt już dziś nie wie, jakie.

Pół roku przed kolejnymi wyborami, na wiosnę 2011 r., Tuskwowi wypsnęło się w „Gazecie Wyborczej”, że pora wycofać się z protokołu.

O tym, że był to jednak, lapsus językowy, świadczy nieco późniejsza wypowiedź rzecznika polskiej prezydencji Konrada Niklewicza: „Protokół brytyjski ma znaczenie czysto symboliczne. Karta Praw Podstawowych w pełni w Polsce obowiązuje”. Nie ma więc sensu nic zmieniać i rząd takich prób nie podejmuje.

Parę miesięcy potem temat karty starali się odrzebać w sejmie posłowie Palikota. Dostali odpór, bo okazało się, że wystąpienie z protokołu brytyjskiego jest trudne. Wymaga zgody wszystkich państw Unii. Polską deklarację w tej sprawie można by dołączyć do innego traktatu, który musiałyby ratyfikować wszystkie państwa członkowskie, ale po mękach z ostatnim, na nowy się nie zapowiada.

W 2014 r. Adam Bodnar, wówczas jako szef HFPC, uważał, że protokół brytyjski wyklucza możliwość, by Polacy powoływali się na kartę w polskich sądach i w Europejskim Trybunale Sprawiedliwości w Luksemburgu. I w swej opinii nie był osamotniony.

W 2015 r. władzę przejął PiS i wstając z kolan, z lubością powtarzało, gdzie ma unijne normy i wartości, a nawet wyroki europejskich trybunałów. Ten sam płynący z protokołu brytyjskiego argument był też niejednokrotnie używany przez Trybunał Przyłębskiej, gdy orzekano, że Polska nie musi przestrzegać wydyktów TSUE.

Jeszcze rok temu europoseł PiS Zbigniew Kuźmiuk pytany o to, dlaczego „media w Polsce straszą, że Polska nie dostanie pieniędzy z funduszy spójności, bo rząd nie uzgodnił, jak będzie się kierował Kartą Praw Podstawowych”, powiedział: „Jesteśmy wyłączeni z zastosowania Karty Praw Podstawowych, bo mamy protokół brytyjski, w związku z czym wypłata funduszy spójności dla Polski jest niezagrażona”.

Ówczesna opozycja demokratyczna jakoś też zmiękla. Opozycyjni publicyści wyjaśniali, że protokół ma charakter wyjaśniający i jako taki stanowi co najwyżej „wskazówkę interpretacyjną”. Bowiem obywatele i sądy mogą powoływać się wprost na kartę tylko w zakresie działania prawa wspólnotowego, czyli tylko w tej sferze, którą zajmuje się UE. Protokół brytyjski w żadnym stopniu nie wyłącza obowiązywania całej Karty Praw Podstawowych w Polsce.

Najciekawszą ewolucję przeszedł w tym czasie Adam Bodnar, który kilka miesięcy temu stwierdził, że „w praktyce protokół ten nie ma obecnie praktycznie żadnego znaczenia”.

Polak podeuropejszy

To ciekawa konstatacja, gdy wie się, że Karta Praw Podstawowych UE jest zbiorem fundamentalnych praw człowieka wspólnie ustalonych przez organy Unii. Prawa te podzielały wszystkie współczesne kraje Europy z wyjątkiem Polski, bo Czesi stosowanie protokołu odpuścili, a Londyn z Unii wybrexitnął. Przyjęliśmy więc kartę z obowiązującymi do dziś zastrzeżeniami, że Polska do końca się z tymi prawami nie utożsamia, a wręcz się ich obawia. Polskie zastrzeżenia są po to, żeby nie dopuścić do przyznania jednostce pełnych praw człowieka w zakresie samodecydowania o swoim życiu. Tak w zakresie praw reproduk-

cyjnych, związków partnerskich jak i w zakresie gwarancji ochronnych ze strony państwa np. dostępu do godnej opieki medycznej.

Będąc stroną protokołu, Polska ma więc w nosie to, że „Pracownikom i ich przedstawicielom należy zagwarantować, na właściwych poziomach, informację i konsultację we właściwym czasie, w przypadkach i na warunkach przewidzianych w prawie Unii oraz ustawodawstwach i praktykach krajowych”.

Rzeczpospolita Polska nie chce też słyszeć o tym, że „Pracownicy i pracodawcy, lub ich odpowiednie organizacje, mają, zgodnie z prawem Unii oraz ustawodawstwami i praktykami krajowymi, prawo do negocjowania i za-

wierania układów zbiorowych pracy na odpowiednich poziomach oraz do podejmowania, w przypadkach konfliktu interesów, działań zbiorowych, w tym strajku, w obronie swoich interesów”. Polskich władz nikt nie może zmusić do tego, żeby „Każdy miał prawo dostępu do bezpłatnego pośrednictwa pracy”. Jak też do tego, by „Każdy pracownik miał prawo do ochrony w przypadku nieuzasadnionego zwolnienia z pracy”.

Nie wspominając o tym, że karta stanowi, iż „Każdy pracownik ma prawo do warunków pracy szanujących jego zdrowie, bezpieczeństwo i godność”. Dzięki protokołowi władza może również pracującym odmówić „prawa do ograniczenia maksymalnego wymiaru czasu pracy, do okresów dziennego i tygodniowego odpoczynku oraz do corocznego płatnego urlopu”.

Po co więc tkwimy samodzielnie w ograniczających prawa Polaków zapisach protokołu? Czy Tusk z Domańskim nie zgadzają się z tym, że „praca dzieci jest zakazana. Minimalny wiek dopuszczenia do pracy nie może być niższy niż minimalny wiek zakończenia obowiązku szkolnego, bez uszczerbku dla uregulowań bardziej korzystnych dla młodocianych i z wyjątkiem ograniczonych dostępow. A młodociani dopuszczeni do pracy muszą mieć zapewnione warunki pracy odpowiednie dla ich wieku oraz być chronieni przed wysiłkiem ekonomicznym oraz jakąkolwiek pracą, która mogłaby szkodzić ich bezpieczeństwu, zdrowiu lub rozwojowi fizycznemu, psychicznemu, moralnemu i społecznemu albo utrudniać im edukację”?

Jakie to wartości przemawiają za tym, aby rząd, w którym jest lewica, nie zgadzał się, że „Rodzina korzysta z ochrony prawnej, ekonomicznej i społecznej. A w celu pogodzenia życia rodzinnego z zawodowym każdy ma prawo do ochrony przed zwolnieniem z pracy z powodów związanych z macierzyństwem i prawo do płatnego urlopu macierzyńskiego oraz do urlopu wychowawczego po urodzeniu lub przysposobieniu dziecka”?

„Unia uznaje i szanuje prawo do świadczeń z zabezpieczenia społecznego oraz do usług społecznych, zapewniających ochronę w takich przypadkach, jak: macierzyństwo, choroba, wypadki przy pracy, zależność lub podeszły wiek oraz w przypadku utraty zatrudnienia”. Unia uznaje, a ministra Dziemianowicz-Bąk niekoniecz-

nie? Tak samo jak tego, że „W celu zwalczania wykluczenia społecznego i ubóstwa, Unia uznaje i szanuje prawo do pomocy społecznej i mieszkaniowej dla zapewnienia godnej egzystencji wszystkim osobom pozbawionym wystarczających środków”?

Karta Praw stanowi, iż „Każdy mający miejsce zamieszkania i prze-mieszczający się legalnie w obrębie Unii Europejskiej ma prawo do świadczeń z zabezpieczenia społecznego i przywilejów socjalnych zgodnie z prawem Unii oraz ustawodawstwami i praktykami krajowymi”. Dzięki protokołowi już nie każdy, bo wyjątkiem mogą być ci, którzy trafiają na terytorium Rzeczpospolitej.

A może nie chcemy wyjść z protokołu, bo premier obawia się, że ministra Leszczyna rzuciłaby się z okna, gdyby wyczytała, iż dzięki Kartie Praw Podstawowych „każdy ma prawo dostępu do profilaktycznej opieki zdrowotnej i prawo do korzystania z leczenia. Przy określaniu i realizowaniu wszystkich polityk i działań Unii zapewnia się wysoki poziom ochrony zdrowia ludzkiego”?

Właśnie te wszystkie kwestie porusza ta część karty, od której dzięki protokołowi brytyjskiemu nam wara. W tych sprawach możemy poskarżyć się żonie albo sąsiadowi, a nawet odwołać się do trybunałów europejskich, których orzeczeń władza ma prawo nie posłuchać.

Pod płaszczykiem zwalczania nieheteronormatywności i roszczeń niemieckich pisowscy obrońcy zwykłych ludzi, miłujące obywatelskość platformersy i pochyłający się nad wszelką niesprawiedliwością społeczną lewicowcy konserwują XIX-wieczne rozwiązania socjalne i zdrowotne.

Bo o tym, żebyśmy stali się wreszcie Europejczykami przez pełne przyjęcie Karty Praw Podstawowych, nikt z okolic władzy nawet nie pisał.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓZDZEK TYGODNIA

Wyborczy wynik lewicy jaki jest, ślepy koń widzi. Jakies żalonne procenty, ochłapy, strzępy, okrucy. Nawet konfederaci osiągnęli więcej.

Po porażce cała na biało wchodzi Anna Maria Żukowska i mówi – dla Wirtualnej Polski – że „trudno mówić o jakimkolwiek wyniku lewicy”. Czyli raczej zgadza się z opinią o klęsce wyborczej. Ale jak mogło być inaczej, „skoro w wielu miastach lewica w ogóle nie miała swojej listy. (...) W Krakowie czy Łodzi były dwie konkurencyjne

wobec siebie listy, żadna z nich pod hasłem lewicy. W Poznaniu też były dwie listy pod sztandarami lewicy, ale też konkurencyjne wobec siebie”.

„Myślę, że z tego też trzeba wyciągnąć wnioski” – mówi Żukowska. Dobrze, że myśli. Dobrze, że o wyciąganiu wniosków. Złe, że nie myśli o wyciąganiu wniosków personalnych, zwłaszcza wobec siebie. Żukowska należy bowiem do ścisłych władz lewicy: od grudnia 2023 r. jest przewodniczącą jej Koalicyjnego Klubu Parlamentarnego.



Przeprosiny po żydowsku

**ETYKA
BEZBOŻNA**

Przypuszczam, że wszyscy poculiśmy się co najmniej rozczarowani zachowaniem pana Ja'akowa Liwne, ambasadora Izraela w Polsce, który po zabiciu przez wojsko izraelskie polskiego wolontariusza w Gazie kręcił i kluczył, zamiast powiedzieć najważniejsze w takiej sytuacji i przez wszystkich oczekiwane słowo: „przepraszam”. To magiczne słowo trzeba mu było dosłownie wyrwać z gardła. Tyle że takie wymuszone przeprosiny to przecież nie to samo, co przeprosiny spontaniczne. Zabrakło empatii, zabrakło wyczucia, nie mówiąc już o dyplomatycznych umiejętnościach.

Z pewnością ambasador powinien był natychmiast przeprosić w imieniu swego kraju i to całkiem niezależnie od tego, co się właściwie wydarzyło i jak do tego zabójstwa doszło. Przy każdym możliwym scenariuszu, łącznie z ewentualnym ukrywaniem się terrorystów w oznakowanym konwoju z pomocą humanitarną, zabójstwo niewinnego Polaka jest czymś, co nie miało prawa się wydarzyć i za co trzeba przeprosić. A za przeprosiniami powinno pójść zadośćuczynienie. Życia nikomu wrócić się nie da, ale dobrze, że przynajmniej istnieją na świecie odszkodowania. Niewielka to pociecha dla rodziny, lecz przynajmniej jest w tym gest dobrej woli. Niektórym (choć nie Ja'akowowi Liwnie) całkiem łatwo przychodzi wypowiedzenie słowa „przepraszam”, a za to wypłacanie odszkodowań zawsze trochę boli. Tym bardziej odszkodowania są potrzebne. Jest w nich bowiem coś z kary.

Dość żenujące zachowanie Ja'akowa Liwne skłoniło mnie do skreślenia kilku uwag na temat przepraszenia. Sprawa bowiem wcale nie jest prosta. Przede wszystkim trzeba odróżnić przepraszenie od prośby o wybaczenie. W poważnych sprawach do wybaczenia prowadzi długa droga. Przeprosiny zaledwie ją inicjują. W słowie „przepraszam” widzimy i prośbę, i nacisk, jakieś naleganie („prze-”). O co się w przepraszeniu prosi? Na co się nalega? Może jeszcze nie prosi się o ostateczne wybaczenie, lecz przynajmniej, na początek, o dostrzeżenie żalu i wstydu po stronie winowajcy. „Przepraszam” oznacza: wejrzij wspaniałomyślnie na mój wstyd; oceniając mnie, weź pod uwagę, że uznaję swoją winę i się jej wstydzę.

Jeśli zrozumiemy sens tego wydarzenia, jakim jest spontaniczne przeproszenie za swoje zawinięcie, to już bez trudu zauważymy dalsze etapy moralnie prawidłowego borykania się winowajcy ze swoją winą. Przede wszystkim skoro przeprasząc, wskazujemy na swoją dobrą wolę, nie może być mowy o łąceniu przeprosiny z takim usprawiedliwianiem się, które mogłoby umniejszyć winę. Wstydzący się swego uczynku woli,



rys. HENRYK CEBULA

aby przypisano mu więcej winy, niż faktycznie jej ponosi, byle by tylko nie podejrzwano go o wypieranie się jakiegś jej części.

Co dalej? Jeśli przeprasząc, prosimy o dostrzeżenie naszych dobrych intencji, to tym samym przeprosiniami deklarujemy dalsze działania w dobrej wierze. A co może winowajca zrobić w dobrej wierze, świadom uczynionych przez siebie krzywd? Oczywiście powinien te krzywdy wyznać, zadeklarować wolę zadośćuczynienia im czy też ich wyrównania w dostępnym i możliwym zakresie, a na końcu obiecać poprawę. Jeśli to wszystko się wydarzy, wtedy może poprosić o wybaczenie. I zwykle, gdy faktycznie za przeprosiniami idą czyny, takie wybaczenie po jakimś czasie następuje.

Możliwy jest jednakże i całkiem inny scenariusz. Taki mianowicie, że ktoś przeprasza, a potem nie robi już nic – tak jak gdyby same przeprosiny mogły służyć za zadośćuczynienie. I gdy ktoś tak właśnie przeprasza, to znaczy wcale nie chce naprawić wyrządzonych szkód i krzywd, nie chce ponieść konsekwencji, a zamiast tego zasłaniać się samymi przeprosiniami („No przecież już przeprosilem!”), to takie przeprosiny nie tylko nic nie są warte, nie są prawdziwe i szczerze, lecz jeszcze pogarszają sytuację. W skrajnych przypadkach są nawet bezczelnością i obrazą.

Jest takie powiedzonko „za dziękuję nic się nie kupuje”. To samo można powiedzieć o przeprosinach: za „przepraszam” nic się nie należy.

Przeprosiny są obowiązkiem, a nie darem od winowajcy dla skrzywdzonego. Są pierwszym i koniecznym warunkiem naprawy tego, co jeszcze się naprawić w ogóle da, ale same w sobie nie stanowią żadnej zasługi.

Dlatego tak wkurzające jest, gdy niektórzy kapłanscy wielmożowie pyszną się swoimi przeprosiniami, tak jak gdyby były one nie tylko rozgrzeszające same przez się, lecz w dodatku stanowiły zasługę. To już jednakże jest moralna patologia wyższego rzędu. Natomiast pospolitym moralnym błędem przeprasających jest zwykle, wynikające z niefrasobliwości i niedostatecznego poczucia odpowiedzialności, przestanie na samym tylko, szczerym nawet, geście przeprosiny bez podjęcia dalszych kroków. Mam nadzieję, że mało znany z wysokiej kultury prawicowy rząd Izraela mimo wszystko będzie się umiał znaleźć i zrobić, co do niego należy. Ale nie jest to jakaś wielka i pulsująca życiem nadzieja. Raczej taka pomniejsza.

JAN HARTMAN

Czy ktoś wyciągnie wnioski, zanim formacja pójdzie na dno?

W numerze primaaprilisowym tygodnika „NIE” żartowaliśmy sobie z Joanną Senyszyn, że Włodzimierz Czarzasty odchodzi z kierowania partią, bo zrozumiał, że jej szkodzi i pora na zmianę warty oraz powierzenie steru lewicy kobietom, które są jej największym kapitałem. Żart był marny, bo z góry było wiadomo, że nikt nie da się nabrać.

Prywatna partia Włodzia

Czarzasty – tu zgadzam się Leszkiem Millerem, co zdarza mi się ostatnio bardzo rzadko – „stworzył prywatną partię”. A w zasadzie sprywatyzował partię, stworzoną w 1999 r. przez Millera, który z kolei w tym celu sprywatyzował SdRP, jej koalicjantów i jej sztandar. Jednak wodzowski styl Millera – który przyczynił się najpierw do wzrostu SLD, a potem do jego upadku – wydaje się, w porównaniu z tym, co robi Czarzasty, stanem demokracji graniczącej z anarchią.

Warto przypomnieć kilka faktów z czasu początku i narodzin Nowej Lewicy – to w nich leży grzech pierworodny tej formacji. Faktyczna likwidacja SLD i stworzenie Nowej Lewicy poprzez równoprawne połączenie z nieistniejącą partią, jaką była Wiosna Roberta Biedronia, zaprezentowane zostały jako zmiana nazwy, co pozwoliło na obejście statutowego zapisu, że decyzję o rozwiązaniu partii podejmuje kongres większością dwóch trzecich głosów. Wszyscy członkowie SLD mieli się z automatu stać członkami eseldowskiej frakcji Nowej Lewicy, ale potem okazało się, że status pozwalała Czarzastemu na selekcję wstępną. Pamiętam też, jak lider wymusił na zarządzie głosowanie po swojej myśli, zawieszając i wykluczając z obrad – w ich trakcie – członków, którzy nie głosowali tak jak trzeba. Potem nastąpił Kongres Zjednoczeniowy, na którym kandydować przeciwko Czarzastemu odważył się tylko jeden działacz, który nawet nie był delegatem. Wobec czego zabroniono mu wystąpienia, ochrona wyprowadziła go z sali, a potem jeszcze „organizatorzy kongresu” wezwali policję, oskarżając go o zakłócanie obrad. Warto wspomnieć, że mimo tego wszystkiego Piotr Rączkowski dostał 14,7 proc. głosów – dużo więcej niż Magdalena Biejat w wyborach na prezydenta Warszawy, co Czarzasty wszak obwołał sukcesem.

Po co komu lewica?

„Czy to jest możliwe że Magda Biejat zdobyła 15 proc. w Warszawie i to jest najlepszy wynik dla

GADMAN

Krajobraz powyborczy.

Lud PiS nie wyparował. Ku wielkim zdumieniu zapiekłych kiboli Koalicji Obywatelskiej. Liczyli oni, że „prawda” Polskę od PiS-u wyzwoli. Wierzyli, że po odcięciu PiS-ludu od jego medialnego opium, od TVP Info, wyborcy PiS szybko otrzeźwieją i porzucą partię archaicznego prezesa Kaczyńskiego.

Byli też przekonani, że sama już codziennie ogłaszana prawda o gigantycznym złodziejstwie publicznych pieniędzy pod sztandarami PiS tak wstrząśnie PiS-elektoratem, tak zawstydzi go, że już nigdy on na partię tych kłamców i złodziei nie zagłosuje. Niestety, znów rzeczywistość okazała się inna niż przekazy usługowych ekspertów i komentarzy mediów głównego nurtu.

Zawrót głowy

Rosnące wyborcze poparcie sondażowe i liczne pochwały kierownictwa Koalicji Obywatelskiej wystawiane przez dyżurnych medialnych ekspertów zapewne uspiły jego czujność. Zaraz po pierwszych sondażowych wynikach wyborów do

Pigułka „dzień po”

sejmików wojewódzkich jasnym stało się, że PiS nadal ma największe poparcie polityczne w skali kraju. A Koalicji Obywatelskiej nie udało się, symbolicznie chociaż, osiągnąć przewagi nad partią Kaczyńskiego. To nadal wyborcze drugie miejsce kierownictwo KO samo sobie zgutowało, kiedy Donald Tusk odrzucił polityczne zaloty lewicy. I do wyborów samorządowych jego KO poszła osobno, a Lewica osobno. Gdyby powstała koalicja KO–Lewica do sejmików wojewódzkich, to uzyskiwałaby nie tylko pierwszy wynik, ale też zdominowałaby te samorządy.

Skazałaby PiS na opozycyjny czyściec w 13 lub 14 sejmikach. W najlepszym razie pozostawiając partii Kaczyńskiego jedynie rządy w sejmiku Podkarpacia. A nie w pięciu sejmikach wojewódzkich, jak to wynika po podliczeniu głosów.

Ale kierownictwo KO uwiaryło w przedwyborcze sondaże dające KO przewagę i pierwszą lokatę. Elity KO uwiaryły też w prognozy swych ekonomistów przekonujących, że przywrócenia pięcioprocentowego VAT-u na żywność zupełnie nie odczują krajowi wyborcy. Bo ceny żywności od razu nie wzrosną, bo podwyżki zahamuje wojna cenowa największych supermarketów. Poza tym emeryci dostali rewaloryzację i obietnicę emerytalnej „trzynastki”.

Rzeczywiście podwyżki VAT polscy wyborcy zapewne jeszcze w kieszeniach nie odczuli.

Zwłaszcza ci bogaci wyborcy KO, którzy na żywność przeznaczają mniej swoich dochodów niż wyborcy PiS. Ale w polskiej polityce obietnice i deklaracje są często ważniejsze od realiów. Dlatego już samo przywrócenie VAT na żywność zostało uznane przez najbiedniejszych za nadchodzącą biedę. I przede wszystkim arogancję nowej władzy. Tak to wielkomięska buta KO pomogła politykom PiS w mobilizacji swego elektoratu.

Zapewne lokalnych polityków PiS i ich elektorat zmobilizowały też licznie powołane komisje sejmowe walczące za aferami PiS. Przez osiem lat swych rządów politycy PiS stworzyli system klientów i beneficjentów. Elity PiS kradły budżetowe pieniądze, ale też dzieliły się nimi z PiS-ludem. Totalny atak na PiS nowej koalicji rządzącej zmobilizował czujący zagrożenie lud PiS-u.

Kandydaci PiS uzyskali też dobre wyniki tam, gdzie kościół katolicki nadal jest silny. Funkcjonariusze tej korporacji również poczuli realne zagrożenie ze strony rządu Wielkiej Kołacji Październikowej. Podczas niedzielnych mszy wskazywali na dobrych katolików, czyli kandydatów PiS.

Koalicje i koalicjanki

Kandydaci komitetów PSL–Trzecia Droga osiągnęli trzeci wynik w wyborach do sejmików wojewódzkich. Ale to też gorszy wynik niż w październiku.

W wyborach parlamentarnych. Do tej pory PSL zawsze miał znacznie lepsze wyniki w wyborach samorządowych niż parlamentarnych. Zwykle wynik w samorządowych był dwa razy lepszy od parlamentarnych. Teraz okazało się, że jest gorzej. Czyżby to efekt wejścia do koalicji Trzecia Droga uważanej na prowincji za formację zbyt liberalną?

Konfederacja osiągnęła dobry wynik i staje się formacją pożądaną dla przyszłych koalicji w sejmikach wojewódzkich. Pożądaną przez PiS, i KO też. Na listach Konfederacji startowali również Bezpartyjni Samorządowcy. Zwykle politycy nieideologiczni, zainteresowani przede wszystkim udziałem we sprawowaniu władzy. Jeśli taki bezpartyjny samorządowiec będzie potrzebny do uzyskania stabilnej większości w sejmikach lub radach miejskich, to każda koalicyjna większość przyjmie go do siebie. Wystarczy, że nie będzie napastować ceremonii religijnych za pomocą gaśnic.

Wedle wstępnych wyników lewica osiągnęła bardzo dobry wynik w Warszawie. Ale i tak rządzić będzie tam Koalicja Obywatelska i jej lewica nie jest tam specjalnie potrzebna.

Poza Warszawą lewica wypadła już słabiej, w sejmikach – gorzej niż w 2019 r., kiedy zyskała tam 11 mandatów w skali kraju. Teraz lewica będzie miała siedmiu radnych wojewódzkich. W przynajmniej dwóch sejmikach zapewnią oni koalicyjną większość.

lewicy od bardzo wielu lat” – tak zagał wiecór wyborczy lewicy jej szef upojony wynikami exit poll. I sam sobie odpowiedział na to pozornie retoryczne pytanie: „Tak, to jest możliwe”.

Nie było. Biejat według oficjalnych wyników zdobyła 12,8 proc. – to nadal jest „najlepszy wynik dla lewicy od bardzo wielu lat”. Z tym, że – mówiąc brutalnie – nie jest to wynik „lewicy”, a już na pewno nie Nowej Lewicy, tylko Magdaleny Biejat i partii Razem. Nowa Lewica pod kierownictwem Czarzastego (bo, bądźmy poważni, nie Biedronia) wyłącznie traci. Z 12,56 proc. w roku 2019 spadła do 8,61 proc. w 2023 i do 6,32 proc. w niedzielnych wyborach samorządowych; po drodze było jeszcze 2,22 Biedronia w wyborach prezydenckich w 2020 r. Formacja lewicowa, mimo początkowych sukcesów, pikuje – jeśli czegoś nie zmieni, wkrótce przestanie istnieć.

rowi. Wzrost pozycji Razem we wspólnym klubie wyraźnie wskazuje, że ich sposób jest lepszy.

Przebiegłość razemowców

Szczerze powiedziawszy, nie lubię Partii Razem, która u swego zarania zrobiła wszystko, żeby nadać swojej nazwie ironiczny wydźwięk. Sekciarstwo i radosna pogarda dla lewicowych „dziadersów” – samo to pojęcie, jak słusznie napisał niedawno prof. Hartman, jest formą dyskryminującej stereotypizacji – z marszu wzbudziły moją głęboką antypatię. Ale nie sposób nie dostrzec, że towarzysze razemowi wyciągają wnioski ze swoich błędów. Dokładnie odwrotnie niż towarzysze nowolewicowi.

Pierwszym takim wnioskiem była koalicja z roku 2019, która wymagała przełamania wstrętu wobec SLD. Podyktowana poczuciem interesu,

prowadzić będzie politykę sprzeczną z lewicowym programem i zdecydowali się trzymać na uboczu.

Beznadzieja nowolewiczan

Sposób, w jaki Donald Tusk rozgrywa lewicę w koalicji rządzącej, jest dla lewicowej tożsamości śmiertelnie niebezpieczny. Początkowo sądziłam skądinąd, że fatalny skład rządowej ekipy lewicy, która – z kilkoma wyjątkami – składa się z czynowników partyjnych bez jakichkolwiek osiągnięć w obszarze działania swoich resortów (mistrzostwem jest inżynier elektryk z podyplomowymi studiami z zarządzania turystyką na stanowisku ministra nauki i szkolnictwa wyższego), to wynik wewnątrzpartyjnej walki buldogów pod dywanem. Teraz podejrzewam, że Tusk maczał palce w tym układzie. Gdyby do rządu weszli ludzie z poważną

pozycją zawodową, istniałoby niebezpieczeństwo, że się wkurwią i trzasną drzwiami, może nawet zerwą koalicję, jeśli działania ich resortów będą dla nich nie do przyjęcia. Teraz, kiedy w tej ekipie dominują partyjni karierowicze, dla których stanowisko sekretarza stanu jest absolutnym szczytem marzeń, daleko ponad progiem kompetencji – będą oni bronić tego rządu jak niepodległości, w słusznym przekonaniu, że drugi raz im się taka szansa nie trafi.

Dodatkową korzyścią z niewejścia do rządu była dla Razem możliwość wystawienia kandydatki w Warszawie. Magdalena Biejat miała lepsze i gorsze momenty – do tych drugich zaliczyłabym natrętne używanie frazy „ja jako mama” – ale ogólnie robi dobre wrażenie. Jest szczerze lewicowa, merytoryczna, przygotowana, kulturalna. Jest niewątpliwie największym dziś kapitałem personalnym całej lewicowej formacji.

Jeśli Nowa Lewica nie chce podzielić losów Nowoczesnej, musi znaleźć sposób na to, żeby być kojarzoną bardziej z Biejat, mniej z Czarzastym. Może skorzystać z jego metody z 2019 r. i zbiorowo zapisać do Razem całą Nową Lewicę?

Czarzastego z Biedroniem bym pominęła.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Lament nad lewicą

W „Rzeczpospolitej” w dzień po wyborach pojawił się niepokojąco trafny komentarz autorstwa studenta politologii Rocha Zygmunta zatytułowany „Nowa Lewica przestaje mieć rację bytu”. Niepokojące jest to, że dzieciak, który ma na oko 20 lat i w dodatku związany jest z prawicowym Klubem Jagiellońskim, rozumie z sytuacji lewicy więcej niż jej dwaj oficjalni liderzy w wieku lat 47 i 63.

„Nie potrzeba ugrupowania bliźniaczo podobnego do Platformy Obywatelskiej, która ma nad lewicą tę przewagę, że jest silniejsza, a zatem stanowi naturalny wybór dla tych, którzy przede wszystkim nie chcą powrotu PiS-u do władzy” – pisze student i ma, niestety, sto procent racji. Nowej Lewicy nie udało się w poważny sposób zaznaczyć swojej programowej i ideowej odrębności w obecnej koalicji rządzącej. Okraszona wulgaryzmami Anny Marii Żukowskiej wojna z Hołownią o aborcję to zdecydowanie za mało, zwłaszcza że wszystko wskazuje na to, że dopóki Duda jest prezydentem, będzie to wojna przegrana. Poza tym – porównanie wyników wyborczych szefowej klubu parlamentarnego lewicy i współprzewodniczącej Razem wskazuje dość jasno, że styl Biejat odpowiada dużo większej rzeszy wyborców niż styl Żukowskiej. Jeśli Nowa Lewica chce uciec grabarzowi spod łopaty, powinna pilnie przyglądać się swojemu mniejszemu partne-

oczywiście, ale trudno mieć pretensje do partii politycznej, że chce wejść od parlamentu.

Druga nauka, jaką Razem wyciągnęło z obserwowania rzeczywistości, to reakcja na fatalny wizerunek koalicji „trzech tenorów” i uzupełnienie kierownictwa partii o Magdaleny Biejat w charakterze współprzewodniczącej. Sensowniej byłoby, gdyby Biejat po prostu zastąpiła nieco już zużytego Zandberga w roli lidera Razem, zamiast dzielić się z nim kierowaniem kieszonkową partią – zawsze to jednak lepiej niż dwóch facetów w wieku średnio-wyższym stojących na czele Nowej Lewicy odwołujących się głównie do młodych kobiet.

Trzecia mądrość Razem – to skupienie na budowie przez samorząd ze wsparciem państwa taniach mieszkań czynszowych: na wynajem, nie do wykupu. Problem dachu nad głową jest obecnie największym utrapieniem młodego pokolenia i jedynie budownictwo komunalne jest w stanie go rozwiązać. To jest ten punkt programowy, który może odróżnić lewicę od centroprawicowych liberalnych koalicjantów i przekonać do niej młodych wyborców, których w niedzielę jej zabrakło.

I wreszcie czwarty przejaw przebiegłości Razem – to niewejście do rządu Donalda Tuska. Politycy tej partii słusznie przewidzieli, że nowy gabinet



Jednak wynik wyborów do sejmików wojewódzkich wskazuje na spadek poparcia lewicy w skali kraju.

To sugeruje, że przyjęta wcześniej taktyka kampanii wyborczej skupiająca się na problemach li-

beralizacji obyczajowej, mobilizowania kobiecego i młodzieżowego elektoratu, dała jedynie 6 proc. poparcia. Ale lewicy nie udało się masowo pozyskać młodzieży. Kobiety pozyskano, ale poniżej oczekiwań. Choć w tych wyborach wiele kobiet głosowało i kandydowało. W wielu polskich miastach prezydentami będą kobiety. Zwykle niereprezentujące politycznie lewicę.

Kandydaci lewicy nie zrobili dwucyfrowego wyniku, bo nie zmobilizowali młodzieży, a wcześniej lewica zniechęciła do siebie wyborców starszych, związanych kiedyś z SLD. W Polsce środowiska seniorów zawsze zwiększają wyborczą

frekwencję. Zafascynowana młodzieżą lewica lekceważy seniorów lewicy. I teraz walczy o piąty wynik w skali kraju.

Co robić będą?

Zaraz po ogłoszeniu oficjalnych wyborów lokalni politycy KO powalczą o swych koalicjantów, aby wywalczyć władzę w 11 sejmikach wojewódzkich. Potem przystąpią do wyborów europejskich. Zapewne stworzą koalicję z komitetem PSL-Trzecia Droga, bo w przyszłym Parlamencie Europejskim znowu będą w jednej frakcji parlamentarnej.

Lewica też powalczy o eurodeputowanych. Jeśli powstanie koalicja KO, Trzecia Droga i lewica, to szanse kandydatów lewicy wzrosną. Jeśli lewica będzie musiała powalczyć samodzielnie, jak w wyborach samorządowych, to swej reprezentacji w PE nie powiększy.

Radni Konfederacji otrzymają propozycje mariażów politycznych od PiS i KO. To sprawi, że konfederacyjna spójność Konfederacji jeszcze bardziej się poluzuje. Polityczne wpływy Konfederatów będą rosły w miarę politycznych i organizacyjnych podziałów Konfederacji.

Wynik wyborczy PiS ocalił przywództwo prezesa Kaczyńskiego. To stabilne, 30-procentowe poparcie w skali kraju daje Zjednoczonej Prawicy szanse na niezły wynik w wyborach do Parlamentu Europejskiego. I rządy prezesa do czasu wyboru prezydenta RP w 2025 roku. Wybory prezydenckie w 2025 roku wygra zapewne kandydat Wielkiej Koalicji Październikowej. Złazszcza je-śli nie będzie nim Szymon Hołownia.

Po wyborach prezydenckich prezes Kaczyński nie będzie już potrzebny Zjednoczonej Prawicy. Wtedy Zjednoczona podzieli się na dwie, trzy par-

tie odwołujące się do wartości narodowych i konserwatywnych. Mające, w przeciwieństwie do obecnego PiS, zdolności zawierania szerokich koalicji.

Lewica, jeśli się nie ogarnie i nie spoważnieje, to w przyszłych wyborach parlamentarnych powalczy o szczęśliwe 5–7 proc. poparcia. I obecność w parlamencie.

Koalicja Obywatelska, jeśli nie spokojnie politycznie, to w przyszłych wyborach parlamentarnych przegra z koalicją centroprawicową skoloną z partii powstałych na gruzach Zjednoczonej Prawicy i Konfederacji oraz nowego PSL-Trzeciej Drogi. Będą mieli też poparcie coraz bardziej słabnącego polskiego Kościoła kat.

Po wyborach parlamentarnych w 2027 r. nowa koalicja centroprawicowa będzie miała swego premiera, a opozycyjna Koalicja Obywatelska swego prezydenta. Ożyje wariant „wasz prezydent, nasz premier”.

Lewica będzie wtedy usilnie przekonywała prezydenta aby zawetował nową ustawę przywracającą zakaz aborcji i pigułki „dzień po”.

PIOTR GADZINOWSKI



Po paru latach oskarżania większość prokuratorów już wie, że to nie zawód, ale charakter.

Łańcuchowy pies zwierzchności

Panią prokurator Ewę Wrzosek przywrócono do pracy w październiku. Długie miesiące po tym, jak ziobrowi aparaczczy z wymiaru sprawiedliwości postpowali ją na wiele niemiłych sposobów. Z inwigilacją Pegasusem włącznie. Wrzosek więc to ikona prokuratorckiej niezależności, ofiara knowań Ziobry i uosobienie praworządności w jednym.

Wrzosek niezależności

Tymczasem Wirtualna Polska wyciągnęła, że w parę tygodni po powrocie do roboty, gdy wciąż premiem był Morawiecki, a Gliński stał do sądów kwity zmieniające statuty mediów publicznych tak, żeby nikt ich PiS nie odbił, pani prokurator, pozostając w kontakcie z politykiem Bartłomiejem Sienkiewiczem, pisała i rozsyłała do różnych sądów kwity, które działania Glińskiego torpedowały. Na dodatek dokumenty te prokurowała w siedzibie kancelarii prawnej, a nie w prokuraturze.

Na głowę Wrzosek posypały się oskarżenia. Sprawę badają jej prokuratorcy przełożeni. Jej macierzyste Stowarzyszenie Prokuratorów Lex Super Omnia odcięło się od ikony. Piszczą, że „doniesienia medialne dotyczące naruszenia zasady apolityczności prokuratora oraz sposobu procedowania w tej sprawie są kontrowersyjne i wysoce niepokojące, zaś przedstawione okoliczności poczynione w toku dziennikarskiego śledztwa na tyle frapujące, że wiele osób poczuło się już uprawnionymi do ferowania publicznego wyroku w tej sprawie”.

Oczywiście na Wrzosek jeły używać sobie miłujące do tej pory panią prokurator media. I to za co? Za to, że zachowała się tak jak od zawsze zachowują się wszyscy polscy prokuratorzy. Którzy choćby nie wiadomo jak głośno wykrzykiwali o niezależności, pracują w prokuraturze – instytucji, w której inaczej się nie da.

Z głupotą i zwierzchnością

Od dziesięcioleci ulubionym sportem wszystkich polityków jest donoszenie do prokuratury. Ponieważ demokracja ma to do siebie, że pospólstwo uczy się od swoich przedstawicieli, radosne to zajęcie zeszło pod strzechy.

Dziś każdy, kto ma długopis, kartkę papieru i parę złotych na kopertę, tudzież znaczek i nie ma nic szczególnego do roboty, może skrobnąć kwit o nazwie zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa.

Zawiadomienie musi zawierać imię i nazwisko zawiadamiającego, nazwiska jego rodziców oraz panińskie nazwisko matki. Prawo wymaga też podania daty i miejsca urodzenia, adresu zamieszkania, numeru PESEL oraz numeru i serii dowodu osobistego. I to są jedyne konkrety, które w doniesieniu do prokuratury należy podać. Reszta zależy od inwencji piszącego. Nie podoba się to, że pies sąsiada wyje – piszemy zawiadomienie o naruszeniu ciszy nocnej. Wkurza nas konkuren-



Rys. MIROSLAW HAJNOS

cyjna firma – jedziemy z donosem o podejrzeniu, iż wygrała przetarg, posługując się łapówkami. Chcemy ugotować prezydenta miasta – skrobiemy, że niezgodnie z prawem przyznał nagrodę podwładnej. Nie widzi nam się słuchanie dzwonów kościelnych – walimy w proboszcza donosem za przekroczenie decybeli.

Żadna ustawa nie zabrania skarżenia wszystkich, za wszystko i zawsze. W całym 2022 r. do wszystkich prokuratorów wpłynęło ok. 1,2 mln spraw. Z rejonówek do sądów z aktem oskarżenia skierowano 242 705 spraw, natomiast w 286 577 przypadkach wydano decyzję o odmowie wszczęcia śledztwa lub dochodzenia. Ponad 23 proc. wszystkich spraw, które trafiły do prokuratury, zakończyły się wydaniem decyzji o odmowie wszczęcia postępowania. Prosty rachunek mówi zatem, że niemal co czwarty donos był bezsensownym zawracaniem prokuraturze tyłka lub czymś, czego szefostwo zabroniło prokuratorom tykać.

Najśmieszniejszy jest w tym przypadku zwrot „decyzja o odmowie wszczęcia postępowania”. A to dlatego, że jak ktoś skarży się, że Rafał Trzaskowski w przerwach między bijaniem żony, dewastuje stołeczne ulice poprzez celowy dobór najgorszych firm remontujących, po czym dostaje łapówki w postaci nieletnich prostytuttek od tych, którzy wygrali przetarg na kładkę przez Wisłę, to zawiadomienie takie nie może od razu wylądować w koszu.

Prawo dla nawiedzonych

Zgodnie z wynikającą z Kodeksu Postępowania Karnego zasadą legalizmu, każde zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, które wpływa do prokuratury, jest rejestrowane, następnie dekretowane przez szefa jednostki prokuratury i trafia do konkretnego prokuratora, który w ciągu 30 dni, w zależności od tego czy istnieje uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa, czy też

nie, podejmuje decyzję o wszczęciu bądź odmowie wszczęcia postępowania karnego. To, że zasada legalizmu przeczy zdrowemu rozsądkowi, jest jasne jak słońce. Bo skoro prokuratura musi nadać bieg każdej sprawie, to każdy idiotyzm musi być przez nią potraktowany na równi z policyjnym doniesieniem o popełnieniu zabójstwa. Nad każdym kwitem musi pochylić się przynajmniej dwóch prokuratorów i sekretarka.

Składając doniesienie o popełnieniu przestępstwa, każdy może dostarczyć wszelkich informacji oraz dowodów, jakie uzna za ważne dla dalszego postępowania w sprawie. Donosiciel nie ma jednak obowiązku udowodnić żadnego elementu popełnionego przestępstwa. Prawo stanowi wszak, że to organy ścigania są odpowiedzialne za zbieranie dowodów.

Wymaganie identyfikacji osoby składającej zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa ma powodować, żeby nikt nikogo fałszywie nie oskarżał. Bo za coś takiego jest kryminal. Jednak każdy, kto choć trochę liźnął prawo, wie, że to martwy przepis. Głębokie i uzasadnione przekonanie jest wystarczające, by powiedzieć o każdym, że jest złodziejem, łapówkarzem albo innym gwałcicielem. Obowiązuje bowiem stara zasada Ziobry, mówiąca, że brak dowodów winy znaczy tylko, że brak jest dowodów, a nie, że ktoś jest niewinny.

Policjanci, którzy przyjeżdżają na interwencję i widzą, że ktoś zrobił sobie z nich jaja, wyciągają Kodeks wykroczeń i czytają delikwentowi:

„Zgodnie z art. 66 § 1 osoba, która ze złośliwości, chcąc wywołać niepotrzebną czynność fałszywym alarmem, informacją lub innym sposobem, wprowadza w błąd organ porządku publicznego podlega karze aresztu, ograniczenia wolności albo grzywny do 1500 zł. Ponadto jeżeli wykroczenie spowodowało niepotrzebną czynność, można orzec nawiązkę do wysokości 1000 zł”. Z reguły wystawienie mandatu w wysokości kilku stów powoduje, że delikwent już nigdy w życiu nie zgłosił zdarzenia, które zaistniało jedynie w jego wyobraźni.

Prokurator tak dobrze jednak nie ma. Co prawda art. 238 kk. mówi, że „kto fałszywie zawiadamia o przestępstwie lub o przestępstwie skarbowym organ powołany do ścigania wiedząc, że przestępstwa nie popełniono, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2” – tylko co z tego?

Wedle prawa przestępstwo to można popełnić tylko umyślnie. Żeby zatem kogoś na tej podstawie ukarać, trzeba udowodnić donosicielowi celowy zamiar wprowadzenia organów ścigania w błąd. Sami prokuratorzy uważają, że jest to niemożliwe, bo większość takich zawiadomień opiera się na doniesieniach medialnych. W związku z czym zawiadamiający nie wie, czy doszło do popełnienia przestępstwa, ale chciałby, aby prokuratura, czy policja to sprawdziły. I nawet jak zapadnie decyzja o odmowie wszczęcia śledztwa, nie da się zarzucić donosicielowi, że celowo zawiadomił o przestępstwie niepopełnionym.

Co by tu jeszcze?

Od paru lat każdego dnia prokuratury dostają ponad 4700 spraw do rozpatrzenia. W tym roku, w związku z rozliczaniem PiS, wniosków będzie pewnie więcej. Prokuratura zatrudnia niemal 6,5 tys. prokuratorów.

Wychodziłoby na to, że każdy z prokuratorów załatwia codziennie – bo przecież urlop im się należy – niemal jedną sprawę. Niewiarygodne to, gdyż wiadomo, jak długo prokurator może się certolić z niektórymi przypadkami. Jeszcze mniej wiarygodne stanie się to, gdy weźmiemy pod uwagę, że na ogólną liczbę prokuratorów składają się tak ci z Prokuratury Krajowej, jak i z prokuratur

regionalnych i okręgowych. Ci pierwsi takiego obłożenia sprawami na pewno nie mają. Można zatem śmiało przyjąć założenie, że największa część roboty spada na tyrających w prokuraturach rejonowych. Z rozmów z nimi wynika, że standardem jest zamykanie przez nich trzech, a nawet czterech spraw dziennie. Czyli nie dość, że statystyki brzmiały niewiarygodnie, to na dodatek są prawdziwe.

Ale przynajmniej wiadomo, dlaczego wszystkie badania opinii nie zostawiają na prokuraturze suchej nitki. Bo jak można od prokuratora wymagać postępowania zgodnego z zasadami sprawiedliwości i logiki, gdy ma do ogarnięcia kilka spraw dziennie? No i przełożonego, który nad sobą też ma przełożonego.

Oprócz szefów prokurator ma też trochę obowiązków przypisanych mu przez prawo. Musi więc prowadzić postępowania przygotowawcze w sprawach karnych. Nadzorować takie postępowania prowadzone przez policję, Straż Graniczną, CBA, czy ABW. Koordynować ściganie przestępstw prowadzone przez inne organy państwowe. Prokurator ma też, rzecz jasna, robić za oskarżyciela publicznego w sądzie. Poza tym sprawuje nadzór nad wykonaniem postanowień o tymczasowym aresztowaniu oraz innych decyzji o pozbawieniu wolności. Dołożymy do tego zaskarżanie do sądu niezgodnych z prawem decyzji administracyjnych oraz udział w postępowaniu sądowym w sprawach zgodności z prawem takich decyzji, a także opiniowanie projektów aktów normatywnych. Ponadto prokuratura prowadzi badania przestępczości oraz jej zwalczania i zapobiegania oraz współdziała z organami państwowymi, państwowymi jednostkami organizacyjnymi i organizacjami społecznymi w zapobieganiu przestępczości i innym naruszeniom prawa. Roboty mnóstwo i możliwości popełnienia błędów, na które tylko czekają przełożeni – też.

Praca czyni podporządkowanym

Największy zapieprz mają prokuratury rejonowe. Każdy zdrowo myślący prokurator chce więc stamtąd śmignąć wyżej. Ponieważ jednak instytucja ta jest zhierarchizowana niczym Kościół katolicki, nie jest to proste. Awans może nastąpić tylko wtedy, gdy prokurator nie podłoży się zwierzchnikom, a przy okazji upoluje sprawę, która rozślawi imię jego i prokuratury rejonowej. Tak to bowiem jest, że awanse, ale i upadki, dotyczą jednocześnie przełożonego i podwładnego. Przykładów związanych z dmuchaniem spraw z górnej półki jest aż nadto. I nieważne, że po kilku latach sądy rozsądzają taką sprawę w pył. Prokuratorzy, którzy mocno przesadzili w oskarżaniu, już dawno dzięki temu wskoczyli do wyższych instancji. Ich zwierzchnicy również.

Zdawać by się mogło, że aby nie podpaść przełożonemu, prokurator musi tylko korzystać ze znajomości prawa i logiki. Nic bardziej mylnego. Jeśli prokuratura jest dwa razy w tygodniu dotknięta kolejnym zawiadomieniem od tego samego człowieka, jeśli wie, że facet jest skazany za pomówienia, jeśli nawet wie, że jego zarzuty warte są mniej niż zero, to i tak nie może gościć dać odmowy wszczęcia postępowania. Dlaczego? Bo ten zaraz odwoła się do zwierzchności. Zwierzchnik zaś po którymś odwołaniu się wścieknie. Ale nie na warchoła, tylko na podwładnego. Taki właśnie mechanizm działania prokuratury powoduje, że wszelkiego rodzaju nawiedźcy i politycy mogą skutecznie absorbować organy ścigania swoimi urojeniami. A jeśli politycy są z ekipy aktualnie rządzącej, to prokuratorzy mają potężnego strupa.

Prokuratorzy za wykonywanie tak odmóżdżających obowiązków dostają całkiem fajne pieniądze. Według GUS średnie wynagrodzenie prokuratorów w 2022 r. wyniosło prawie 18 tys. zł. Z kolei portal internetowy specjalizujący się w podawaniu wynagrodzeń w różnych fachach rzecze, iż „średnie miesięczne zarobki prokuratorów w 2024 roku wynoszą 12 910 zł brutto. Co drugi prokurator otrzymuje pensję od 9830 zł do 16 720 zł brutto. Najgorzej zarabiający prokuratorzy zarabiają poniżej 9830 zł brutto. Na zarobki powyżej 16 720 zł brutto może liczyć grupa najlepiej opłacanych prokuratorów w Polsce”. Ponieważ dane z sieci trzeba weryfikować, zadzwoniłem do paru prokuratorów. Wyszło, że GUS się nie myli i bycie prokuratorem na głęboki sens egzystencjalny.

A bycie prokuratorem wyższej instancji ma sens jeszcze głębszy. Dlatego

wieszanie psów na prokurator Wrzosek za to, że robiąc dobrze władzy, zachowuje się zgodnie z etosem swojego zawodu, jest niemądre.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ostre hamowanie zapędów ministerstwa zdrowia.

Przeglądanie się rządowym próbom okiełznania tematu klauzuli sumienia przywodzi na myśl filmy puszczane ciemną nocą przez podejrzaną kanały telewizyjne. To swoista mieszanina sportu i porno – sportu, bo przypomina przeciąganie liny, porno, gdyż zabawa skończy się bolesnym dymaniem. Zagadką pozostaje jedynie, która z zainteresowanych tematem stron będzie moczyć dupę w lodzie.

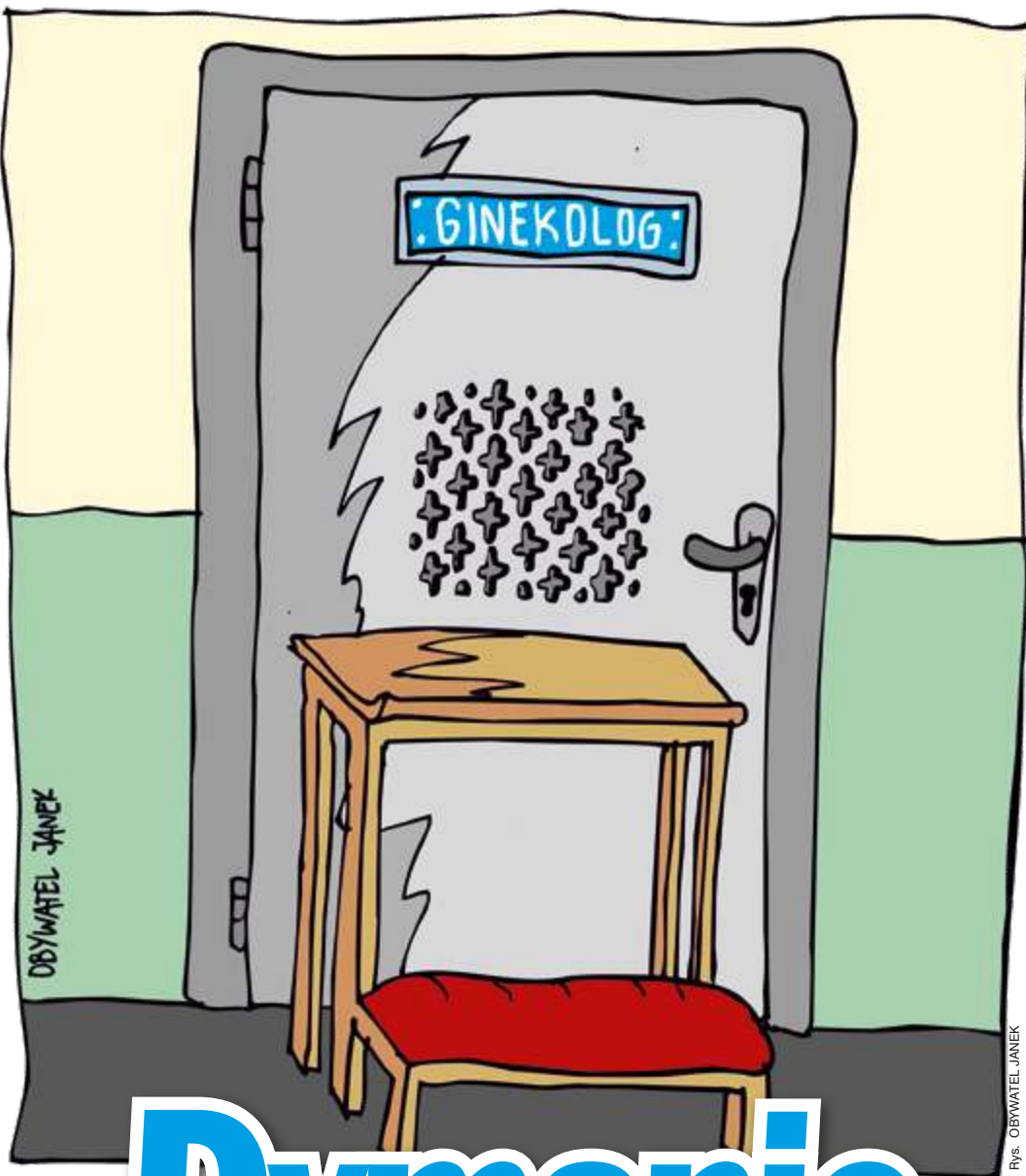
Ministerstwo Rozdęcia

Na początku marca premier Donald Tusk zapowiedział, że każda odmowa wykonania zgodnej z prawem aborcji z urzędu będzie zgłaszana do prokuratury. Równocześnie zwrócił się do ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego oraz do minister zdrowia o przedstawienie odpowiednim instytucjom i osobom wytycznych, które pozwolą pozabawiać kontaktów z NFZ w zakresie ginekologii te placówki, które skrobanki zdecydują się odmówić. Tusk podkreślił też, że klauzula sumienia nie może w żadnym wypadku zastąpić tego oczywistego obowiązku, jaki jest pierwszym obowiązkiem każdego lekarza, a więc kiedy trzeba ratować życie i zdrowie każdej kobiety. W podobnym tonie wypowiedziała się wielokrotnie ministra zdrowia Izabela Leszczyna, choć jednocześnie zarzekała się, że nie zamierza nikomu modelować ani łamać sumienia.

I faktycznie, jeśli się przyjrzeć projektowi nowych przepisów, bardziej niż radykalne zmiany przywołują na myśl głaskanie po pipie. 11 marca na stronach Rządowego Centrum Legislacji (RCL) pojawił się projekt nowelizacji rozporządzenia o ogólnych warunkach wykonywania umów na leczenie. W dokumencie znajduje się zapis zobowiązujący każdy szpital mający kontrakt na świadczenia z zakresu ginekologii i położnictwa „do wykonywania świadczeń zakończenia ciąży, w miejscu udzielania świadczeń, niezależnie od powstrzymywania się przez lekarza wykonującego zawód u tego świadczeniodawcy od wykonania świadczenia, zgodnie z art. 39 ustawy z dnia 5 grudnia 1996 r. o zawodach lekarza i dentysty”. Art. 39 zaś mówi, że „lekarz może powstrzymać się od wykonania świadczeń zdrowotnych niezgodnych z jego sumieniem”. Wyjątkiem jest jednak sytuacja zagrożenia zdrowia i życia kobiety. Zmienia to tyle, że jeżeli dotychczas placówka odmawiająca ewakuacji zarodka z przytulnego hotelu macicy miała w obowiązku wskazać najbliższą lecznicę wykonującą taką usługę, to po wejściu w życie nowych wytycznych będzie zmuszona tak zorganizować pracę oddziału, żeby skrobanie wykonać. Krótko mówiąc, szpital ma mieć obowiązek zatrudnienia lekarza gotowego przeprowadzić aborcję. Jeśli zatem wziąć pod uwagę oczekiwanie społeczne, że każdy lekarz, który nie potrafi przed wejściem do gabinetu zawiesić sumienia na kołku żenady, zostanie zwyczajnie i po ludzku wyjebany z pracy – zmiany są, delikatnie mówiąc, kosmetyczne. A ponieważ życie to nie bajka o Kosciuszku, gdzie każda niegodziwość ma swój koniec, wiele wskazuje na to, że nawet te popłuczyny nowelizacyjne spłyną z nurtem gnojówek.

Bezstresowa zbrodnia

Konsekwencje za niedostosowanie się do nowego rozporządzenia wydają się oscylować w tak zwanej



Dymanie pacjentek

społecznej odpowiedzialności interesu. Resort zdrowia zapowiedział, że będzie kontrolował szpitale, czy aby nie utrudniają aborcji. Po pierwsze jeżeli placówka medyczna nie wykaże zatrudnienia specjalisty gotowego wykonywać skrobanki, straci kontrakt z NFZ od razu – jest w tym pewien haczyk, ale o tym później. Ministra zdrowia przypominała również, że wedle nowych zasad za pośrednictwem infolinii rzecznika praw pacjenta będzie można zgłosić anonimowo, że dana placówka odmówiła terminacji ciąży, mimo wskazań medycznych. W tym momencie warto zaznaczyć, że lekarz, który położy pałę na wykonaniu świadczenia – w myśl obowiązujących już przepisów – powinien ten fakt odnotować w dokumentacji. Tak się jednak nie dzieje. Dlatego te szefowa Ministerstwa Zdrowia zapowiedziała kontrolę i w tym zakresie. W jaki sposób będzie przebiegała kontrola anonimowych zgłoszeń nieistniejących w papierach odmów procedur, pozostaje się tylko domyślać. Jeśli już jakimś cudem szpital zostanie przylapany na bezprawnej niesubordynacji, jego dyrektor zostanie rozstrzelany, a personel wysłany na ciężkie roboty do kamieniołomów? Mało śmieszny żart. Podobnie jak następstwa złama-

nia przez placówki prawa. Lecznica, która spuści po brzytwie nieszczęśliwie zaciążoną niewiastę najpierw dostanie karę umowną w wysokości 2 proc. kontraktu z NFZ. Gdy proceder będzie się powtarzał, NFZ umowy będzie wypowiadał. Oznacza to, że szpital nie będzie wówczas dysponował publicznymi pieniędzmi na prowadzenie oddziału ginekologiczno-położniczego.

Rozrzućność w ekwiwalencie strzyżenia niepokornych owiec szybko ukrócił Związek Powiatów Polskich wspólnie z Związkiem Miast Polskich i trzeba przyznać, że odpięli ministerialnym planom z grubej rury.

Gruzowanie

ZPP w opublikowanym oświadczeniu stwierdził, że rozporządzenie o ogólnych warunkach wykonywania umów nie jest miejscem do rozwiązywania problemów o charakterze ustawowym, a „przerzucanie problemu korzystania przez lekarzy z tzw. klauzuli sumienia na podmioty lecznicze, w przypadku jeżeli daną procedurę mogą wykonać tylko lekarze, uderzy przede wszystkim w mniejsze podmioty lecznicze, które mogą nie być w stanie zapew-

nić zastępstwa, jeżeli wszyscy zatrudnieni w podmiocie leczniczym lekarze ginekolodzy skorzystają z klauzuli”. Ponadto ZPP wykazał, że MZ niezbyt głęboko pochyliło się nad aktualnym stanem prawnym... Jak słusznie zauważyła organizacja, zgodnie z obecnie obowiązującymi przepisami lekarz wykonujący zawód na podstawie umowy o pracę ma obowiązek uprzedzenia na piśmie przełożonego, w jakich sytuacjach chce on skorzystać z klauzuli sumienia, ale równie dobrze może to zrobić także bezpośrednio przed zabiegiem. Co więcej, przepis ten nie odnosi się do lekarza zatrudnionego na kontrakcie. Cóż więc z groźby o utracie kontraktu w przypadku niewykazania przez szpital odpowiedniego zaopatrzenia pracowniczego? Gówno.

Zdaniem Związku Powiatów Polskich chęć przerwienia przez ministerstwo odpowiedzialności za odmowę wykonania aborcji z lekarzy na szpitalach świadczy o skrajnie nieuczciwym podejściu do świadczeniodawców w sektorze publicznym, którzy nie prowadzą działalności w celach zarobkowych. Natomiast zapisana w projekcie możliwość rozwiązania umowy ze szpitalem, który nie przeprowadził skrobanki, może zwyczajnie doprowadzić do braku dostępności do świadczeń z zakresu ginekologii i położnictwa na danym obszarze. W podobnym tonie wypowiedzieli się samorządowcy ze Związku Miast Polskich.

Gdyby doszło do sytuacji, że w danym regionie większość szpitali byłaby zagrożona utratą finansowania z powodu przedstawionych pobudek, Narodowy Fundusz Zdrowia mógłby zostać oskarżony o naruszenie praw pacjenta (w tym przypadku kobiet) do wszystkich innych poza aborcją świadczeń.

Koło wygięło się w kwadrat.

Mimowolnie nasuwa się pytanie, co gdyby znieść klauzulę sumienia? W czerwcu 2023 r. posłowie Lewicy złożyli w Sejmie projekt nowelizacji ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty, który zakładał likwidację wspomnianej klauzuli. Zdaniem autorów projektu, zmiana przepisów uchroniłaby pacjentki przed groźbą zapłaty własnym zdrowiem lub życiem za indywidualne przekonania lekarzy. Do propozycji odniosła się wówczas Naczelna Izba Lekarska, która poinformowała krótko i na temat, że klauzula sumienia wynika m.in. z Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej, oraz że – a jakże – nie obowiązuje w przypadku zagrożenia zdrowia i życia pacjentów. O tym, jak się ma ostatnie zdanie do rzeczywistości, mieliśmy wszyscy nieprzyjemność przekonać się w ostatnich latach aż nazbyt często.

Niezależnie od dalszych kroków, jakie podejmą Ministerstwo Zdrowia i rząd, wydaje się, że do ucywilizowania standardów opieki ginekologicznej w kraju wciąż daleka droga. Dopóki trwa przeciąganie liny, najbardziej wydymane wciąż pozostają pacjentki.

IDALIA DUBICKA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Nie wiem, czy do tej pory coś podobnego w Polsce się wydarzyło, ale w domenie publicznej zdarzenie z Rabki jest precedensem. W tragicznym wypadku podczas wichury, w którym straciły życie trzy osoby, policja z premedytacją uniemożliwiła opatrzenie umierających Świętymi Sakramentami. (...) **Przyczyniliśmy się zbyt łatwo do nieustannych nagonek na kapłanów i prób ośmieszania wiary chrześcijańskiej jako zabobonów i czarów.** (...) Teraz służby państwowe próbują uderzyć w ten najbardziej intymny aspekt wiary i **rozprawić się przy pomocy policji z ludzką nadzieją na życie wieczne.** Prawdę mówiąc, jest w tej **ateistycznej bucie policji** coś tak przerażającego, że aż trudno pisać mi to, co teraz piszę. W najczar-

niejszych snach nie przychodziło mi dotąd do głowy, że coś takiego może się dzieć w wolnej Polsce. **Komunistyczna Milicja Obywatelska nigdy by sobie nie pozwoliła na taką butę.**

Jan Rokita, „Dziennik Polski”, 5 kwietnia

■ **W parze z narracją lewicową idzie – przepraszam za określenie – odmóżdzenie młodych pokoleń. (...) Mamy poligon doświadczalny w Polsce, która jest w Europie jeszcze ostoją pod względem normalności.** Mam tutaj na myśli oczywiście obronę tradycyjnych wartości. (...) **Mamy typowo marksistowski system myślenia:** »Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam«. Pani minister zdrowia i cały rząd Donalda Tuska mają taką siłę sprawczą, że pozbawiają lekarza elementarnego prawa (...) do własnego sumienia. (...) Oni mówią, że kobieta chce mieć wybór w kwestii aborcji, a lekarz nie ma mieć prawa wyboru, czy dokonać tego czynu, czy nie. **Mamy do czynienia z ideologią.**

dr A. Dąbrowski, Akcja Katolicka, Radio Maryja, 3 kwietnia

■ **Jeżeli czytamy, co się dzieje w Rosji, to tam są zastraszeni prawnicy,**

lekarze opozycyjnych polityków. To samo się dzieje w Polsce rządzonej przez Tuska, który przykleja sobie serduszką do koszulki, a równocześnie tworzy taką nagonkę uderzającą nie tylko w ciężko chorego polityka (...), ale również w lekarzy, by zniechęcić do jego leczenia. Do czego to prowadzi? Nie chodzi tylko o mnie, ale to jest casus, jaki pokazuje **stan polskiego państwa, które znalazło się pod rządami Tuska i diabelską nienawiść, która kieruje tymi ludźmi.**

Zbigniew Ziobro, Radio Maryja, 5 kwietnia

■ Ten **proces rugowania Ewangelii z duchowości ludzi przynależących do świata zachodniej kultury** trwa nieprzerwanie po dzień dzisiejszy, korzystając z wszelkich kolejnych możliwości środków edukacji i społecznego przekazu. **Skutki tego procesu są niekiedy przerażająco tragiczne, wręcz krwawe.** (...) Słynne powiedzenie Fiodora Dostojewskiego: »Jeśli Boga nie ma, to wszystko jest dozwolone«, znalazło swoje tragiczne potwierdzenie. Do tego możemy dodać jeszcze jedno stwierdzenie: **jeśli Boga nie**

ma, to wszystko, nawet największe i najbardziej odrażające zło, da się uzasadnić i usprawiedliwić. Odnosi się to także do losów poszczególnych ludzi, zwłaszcza tych najbardziej bezbronych i niewinnych: do losów dzieci poczętych i znajdujących się jeszcze w łonach matek”.

abp Marek Jędraszewski, Kalwaria Zebrzydowska, 29 marca

NIE... PROBOSZCZ MA TERAZ PRZERWĘ NA MINISTRANTA



■ **Antyklerykalizm zasłonił intelekt.** Jeżeli pomoc duchowa jest niezwykle ważna również w pomocy fizycznej, to **zacierzowanie katolikofobiczne** powoduje, że funkcjonariusz publiczny nie spełnia swojego zadania. Nigdy nie spotkałem się z sytuacją, żeby jakiś funkcjonariusz publiczny przeszkadzał mi w sprawowaniu sakramentów; a uczestniczyłem w różnych sytuacjach i wypadkach.”

ks. Daniel Wachowiak, PCh24TV, 6 kwietnia

■ Jeżeli mamy bardziej słuchać Boga, to Bóg winien być autorytetem w sprawach naszego życia małżeńskiego, rodzinnego, wychowania i życia codziennego. **Bóg ma być naszym autorytetem w kwestii historii, sztuki, prawa, filozofii, kultury i polityki. Bóg ma być autorytetem w sprawach szacunku do życia i opieki społecznej, przedsiębiorczości i sukcesu.** Bóg ma być autorytetem w kwestii wiary i Kościoła”.

abp Stanisław Gądecki, Wieluń, 6 kwietnia

KLECHA

Rys. GRZEGORZ NOWAK

WIARA CZYNI CZUBA

1. Sąd Najwyższy Ugandy odrzucił skargę krajowych organizacji LGBTQ+ w sprawie „ustawy antyhomoseksualnej”. Ustawa o przeciwdziałaniu homoseksualności, podpisana przez prezydenta Yoweriego Museveniego w maju zeszłego roku, za stosunek z osobą tej samej płci przewiduje dożywocie, a za „homoseksualizm kwalifikowany” – karę śmierci. Za „kwalifikowany” ugandyjskie prawo uznaje stosunek homoseksualny z osobą niepełnoletnią lub niepełnosprawną intelektualnie, uprawianie seksu przez nosicieli HIV i kazirodstwo. „Odmawiamy unieważnienia ustawy antyhomoseksualnej z 2023 r. w całości, ani nie wydamy stałego nakazu przeciwko jej egzekwowaniu” – ogłosił z niejaką dumą przewodniczący składu orzekającego, sędzia Richard Buteera, uchodzący skądinąd za liberała.

2. Katolicka prawica we Francji jednoczy się w obronie księdza Matthieu Raffray’a, który jest prześladowany przez francuski rząd za to, że „powiedział, że homoseksualizm jest grzechem”. Ksiądz prześladowany Aurore Bergé, minister ds. równości oraz walki z dyskryminacją, która obwieściła, że złoży przeciwko niemu doniesienie w związku z szerzeniem nienawiści. „Stawką jest chrześcijańska moralność i cały Kościół” – głosi Raffay w różnych konserwatywnych mediach, które mu skwapliwie potakują. Warto w tym miejscu zacytować, co dokładnie powiedział ksiądz Matthieu: „Każdy ma swoje słabości: jeden jest żarłokiem, drugi jest cholerykiem, trzeci jest homoseksualistą. Z tymi wszystkimi grzechami, wszystkimi nalogami, można walczyć, ale wewnętrzny demon nam mówi, że to jest za trudne, bo gra na naszych słabościach”.

3. Bp James Powers z diecezji Superior w Wisconsin napierdala się w necie z abp Carlo Marią Viganò, byłym nuncjuszem apostolskim w USA. Viganò napisał na platformie X, że Powers urządził w katedrze „szamańską ceremonię” – chodziło o tradycyjny taniec plemienia Ojibwe – co stanowi „bardzo poważne świętokradztwo”, toteż Powers, jego zdaniem, „nie jest następcą apostołów, ale sługą masonerii” oraz „obskurnym urzędnikiem religii ekumenicznej”. Powers odpowiedział na Facebooku, groząc oskarżeniem przed sądem biskupim, a ponadto oskarżając Viganò o nielegalne wysłanie do jego diecezji ojca Ambrozego i siostry Tekli, którzy tak naprawdę nie wiadomo, czy w ogóle są osobami duchownymi i którzy założyli szemrane tajne stowarzyszenie o nazwie „Pustelnia Jezusa, Maryi i Józefa”. Ach, niefatwa jest służba Panu.

4. Właściciel gejowskiego klubu Pose w Orenburgu w zachodniej Rosji został aresztowany na lotnisku w Moskwie pod zarzutami ekstremizmu, którego przejawem było – zdaniem rosyjskich władz – zorganizowanie drag show, czyli performansu z udziałem drag queens. Dołączył do swoich pracowników – menedżerki Diany Kamiljanowej i dyrektora artystycznego klubu Aleksandra Klimowa, których władze zamknęły bezpośrednio po wydarzeniu. Jak poinformował Centralny Sąd Okręgowy w Orenburgu, wszyscy troje są oskarżeni o spiskowanie ze zwolennikami „międzynarodowego ruchu LGBT”, który Rosja w listopadzie wpisała na listę organizacji ekstremistycznych. Jeśli zostaną uznani za winnych, grozi im 10 lat więzienia. To pierwszy w Rosji proces w oparciu o nowe przepisy, ale nikt nie ma wątpliwości, że będzie ich więcej.

5. W Katarze z kolei niejaki Manuel Guerrero Aviña został aresztowany po tym, jak odpowiedział na anons na gejowskiej aplikacji randkowej Grindr. Posiadający brytyjski i meksykański paszport oraz 20 lat doświadczenia w lotnictwie Aviña został zatrudniony przez Qatar Airways, ale zanim zdążył zrobić karierę, wpadł w pułapkę zastawioną przez katarską policję obyczajową. Po paru tygodniach w więzieniu Manuel wyszedł na wolność, ale ma zakaz opuszczania kraju. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, iż jest on nosicielem wirusa HIV i właśnie kończą mu się przywiezione z UK leki antyretrowirusowe, których w Katarze dostać nie sposób, bo oficjalnie nie ma tam homoseksualistów. Brat Manuela, Enrique, mówi mediom, że katarskie władze używają groźby braku leków, żeby zmusić Aviñę do wyjawienia nazwisk jego partnerów seksualnych w Katarze.

6. Katolicki portal informacyjny CNA donosi o śmierci Juana Péreza Mory, który 4 lutego 2022 r. został wpisany do księgi Guinnessa jako najstarszy mężczyzna na świecie. Juan zmarł na początku kwietnia, na niespełna dwa miesiące przed swoimi 115. urodzinami. Za życia dwa razy dziennie odmawiał różaniec, co – zdaje się sugerować CNA – było przyczyną jego długowieczności. Sam matuzalem odnotowywał jeszcze inną. Jak powiedział w rozmowie z ludźmi od Guinnessa, jego sekretem na długie życie była „ciężka praca, odpoczynek w święta, wczesne kładzenie się spać, miłość do Boga i noszenie go zawsze w sercu”, ale także „picie szklanki agardiente dziennie”. Agardiente to gorzła z trzciny cukrowej, która może mieć od 30 do 60 woltów. W Wenezueli, gdzie żył i umarł Mora, raczej bliżej tej górnej granicy.

Słowacja w onucach?

Ukraiносceptyczny prezydent Pellegrini.

Media kolektywnego Zachodu – w tym polskie – ogłosiły z niejaką paniką, że wybory prezydenckie na Słowacji wygrał kandydat „prorosyjski”, a także „przyjaźny Rosji”. Najbardziej powściągliwy – a równocześnie chyba najbliższy rzeczywistości – był brytyjski dziennik „Guardian”, który nazwał nowego prezydenta Słowacji „ukraiносceptycznym”.

Wojna i pokój

Kwestia Ukrainy była jedną z kluczowych (acz nie jedyną) osią sporu. Peter Pellegrini, popierany przez premiera Roberta Fico przewodniczący Rady Narodowej (czyli słowackiego parlamentu), prezentował się jako kandydat pokoju. Przekonywał, że jego przeciwnik Ivan Korčok, który był ministrem spraw zagranicznych w centroprawicowych rządach Igora Matoviča i Eduarda Hegera, a wcześniej ambasadorem w Niemczech, USA i przy Unii Europejskiej, to „podżegacz wojenny, który bez wahania zrobi wszystko, co każe mu Zachód, w tym wciągnie Słowację w wojnę”. Nie była to do końca czysta gra – nie tylko dlatego, że Korčok stanowczo zaprzeczał, żeby miał takie plany, ale także dlatego, że słowacka konstytucja decyduje o przystąpieniu do wojny powierza rządowi.

Z drugiej strony, Korčok atakował Pellegriniego, sugerując, że oderwie Słowację od Zachodu i wepchnie w objęcia Putina. Przeciwno temu z kolei protestował Pellegrini: „Nie ma sporu o przyszły kierunek polityki zagranicznej, ja również, podobnie jak mój kontrkandydat, jestem gwarancją, że nadal będziemy silnym członkiem UE i NATO” – mówił.

Zarówno Korčok, jak i ustępująca prezydent Zuzana Čaputová popierali zbrojenie Ukrainy, które Fico i Pellegrini ostro krytykowali. Z pozycji filozoficznych, ale też i praktycznych.

„Dlaczego, na miłość boską, nie prowadzimy rozmów pokojowych? Dlaczego ciągle rozmawiamy o tym, jaką amunicję wyślemy na Ukrainę, jakie czołgi tam wyślemy, ile miliardów euro wydamy na dalsze zbrojenia?”

Naiwnością jest sądzić, że Rosja opuści Krym i terytoria, które dziś kontroluje, więc po co to całe zabijanie? – mówił Fico w kampanii. I dodawał, iż poprzedni rząd, w którym Korčok był szefem MSZ, przekazał Ukrainie „wszystko, co wartościowe z armii” – w tym całą słowacką flotę samolotów MiG-29 – co spowodowało osłabienie zdolności bojowej słowackiego wojska.

Powściągliwość i niepokój

W pierwszej turze wygrał Korčok (42,5 do 37 proc. głosów); w drugiej Pellegrini stosunkiem 53 do 47 proc.

Rzecz w tym, iż wynik był do przewidzenia. Bojowa proukraińskość poprzedniego rządu i prezydencji podobała się zachodnim jastrzębiom, ale niekoniecznie obywatelom Słowacji myślącym o konflikcie rosyjsko-ukraińskim i własnej w nim pozycji w sposób pozbawiony uniesień, a nawet cokolwiek cyniczny.

Opublikowany w zeszłym roku raport think-tanku GLOBSEC z siedzibą w Bratysławie, analizuje stosunek do problemów międzynarodowych – w tym wojny na Ukrainie – w ośmiu krajach

stwa jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa ich kraju; 50 proc. mówi to samo o USA. Tylko 18 proc. uważa Stany za partnera strategicznego; Rosję w tej roli widzi co czwarty obywatel Słowacji. Wśród przyczyn strategicznego partnerstwa z Rosją Słowacy racjonalnie wymieniali przede wszystkim zależność od rosyjskich surowców.

Inne pytanie zadane w sondażu GLOBSEC brzmiało: „Poprzez dostarczenie sprzętu wojskowego i broni na Ukrainę mój kraj...” – tu następowały dwa możliwe warianty: „pomaga Ukrainie obronić się przed Rosją” oraz „prowokuje Rosję i sam przybliża się do wojny”. W Polsce, większość ankietowanych wyraźnie dostrzegła w tym pytaniu test na lojalność:

WOKŁOWE

WIEPRZOWE

ARMATNIE



Europy środkowo-wschodniej: Bułgarii, Czechach, Polsce, Rumunii, na Węgrzech, Litwie, Łotwie i oczywiście na Słowacji. W krótkich wizytówkach badanych krajów Polska obdarowana jest komplem, jako „wyraźny geopolityczny lider” – ewidentnie prozachodni analitycy GLOBSEC w zasadzie nie kryją zazdrości z powodu tego, jak powszechna jest u nas postawa antyrosyjska. Słowacy są w tej sprawie znacznie bardziej powściągliwi.

40 proc. Słowaków pytanym o to, kto jest winien konfliktu, odpowiada: „Rosja, która napadła na Ukrainę”. 17 proc. wini Ukrainę, zwracając uwagę na kwestię, która w Polsce w ogóle nie pojawia się w publicznym dyskursie, a mianowicie „prześladowanie rosyjskojęzycznej ludności kraju” (szacun dla GLOBSEC za odwagę podania tej opcji); 34 proc. winę składa na barki „Zachodu, który sprowokował Rosję”. Podobne wyniki były tylko w Bułgarii (44/15/32). Na Węgrzech bramkę A. wybrało 54 proc. ankietowanych, a pozostałe – po kilkanaście procent. Liderem jednomyślności jest oczywiście Polska, ale tu także – warto odnotować – jakiś odsetek dysydentów się pojawia (85/3/4).

Podział opinii co do odpowiedzialności za wojnę przekłada się też na stosunek do liderów. Słowacy generalnie nie przepadają za przywódcami krajów, które biorą w tym konflikcie udział. O Wołodimirze Zełenskim dobrze myśli 31 proc. ankietowanych; o Władimirze Putinie – 27 proc.; o Joe Bidenie – 29 proc.

Równowaga nieufności

Te proporcje – wskazujące na pewną równowagę nieufności – powtarzają się także w odpowiedzi na pytanie o to, kogo Słowacy się boją. 54 proc. uważa, że Ro-

na pierwsze pytanie „tak” odpowiedziało 93 proc.; na drugie tylko 34 proc. – choć przecież z krajowych sondaży wiemy, że psychiza wojenna jest coraz silniejsza (w lutym Pollster ustalił, że wojny Rosji z NATO boi się 56 proc. Polaków). Słowacy, wolni od wzmoczenia moralnego, odpowiadali dość racjonalnie, dostrzegając, że nie są to opcje wzajemnie wykluczające się: 57 proc. uważa, że zbrojenie pomaga Ukrainie w obronie, 69 proc. – że jest niebezpieczne dla kraju zbrojącego. Słowacy stali się też bardziej sceptyczni wobec NATO: w 2023 r. tylko 58 proc. (w porównaniu z 72 proc. w 2022 r.), głosowało za pozostaniem w Sojuszu.

Wbrew historycznej reakcji zachodnich mediów, Słowacy nie wybrali „ukraiносceptycznego” rządu i prezydenta dlatego, że są wielbicielami Rosji i Putina, albo zażartymi ukraińofobami. Są obywatelami małego kraju z własnymi problemami, wolnymi od nekającej Polskiej manii wielkości. Szczere powiedziane, nieco zazdrościć im rozsądku.

AWŁ

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

„Washington Post” ujawnił plan pokoju na Ukrainie autorstwa Donalda Trumpa. Rozwiązanie zakłada uznanie rosyjskiego zwierzchnictwa nad Krymem i Donbasem, czyli regionami rosyjskojęzycznymi i prorosyjskimi, ograniczenie ekspansjonistycznej polityki NATO oraz skłonienie Rosji do rozluźnienia stosunków z Chinami, które Stany Zjednoczone uważają obecnie za największe zagrożenie.

Maciej Pieczyński pisze na łamach „Do Rzeczy” o zdunach, czyli mieszkańcach Ukrainy, którzy wciąż czekają na wyzwolenie przez Rosjan: „31 marca deputowana charkowskiej rady obwodowej Halina Kuc w rozmowie z telewizją Espresso przyznawała, że »niestety, w Charkowie jest wielu sympatyków Rosji«, a ostatnio się nawet zaktywizowali. Szczególnie dotyczy to parafian Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej (patriarchatu

moskiewskiego). (...) Jej wierni przez długi czas milczeli, ale niedawno znów zaczęli mówić o przyjaźni z Rosją”. Dodajmy, że w sondażu przeprowadzonym w 2021 r. ponad 60 proc. Ukraińców żyjących we wschodnich regionach kraju uznało Ukraińców i Rosjan za jeden naród.

W Rosji odstonięto pierwszy pomnik przedstawiający założycieli Grupy Wagnera. Figury tragicznie zmarłych Jewgienija Prigożyna i Dmitrija Utkina stały w Kraju Krasnodarskim.

Dziennikarz Bielsatu Marcin Herman w artykule „(Nie)święta wojna Putina” opublikowanym na łamach „Gazety Polskiej Codziennie” pisze: „[Rosyjska] pseudochrześcijańska i pseudoprawosławna retoryka bardziej przypomina islamistów z tzw. Państwa Islamskiego czy irańskich ajatollahów. (...) widocznie dekady za-

angażowania Rosji na Bliskim Wschodzie i wspierania terroryzmu zaowocowały upodobnieniem się do islamistów. A może było odwrotnie? Może to oni upodobnili się do terrorystycznego komunistycznego Związku Sowieckiego (...)?” Redaktorowi Bielsatu przypominamy, że pewne państwo zza wielkiej wody jest na Bliskim Wschodzie zaangażowane znacznie bardziej od Rosji, a w swych obozach szkolilo m. in. Osamę bin Ladena.

„Jesteśmy przygotowani na inwazję” – zatytułowała artykuł o estońskiej armii „Gazeta Wyborcza”. Spójrzmy do statystyk: estońskie lotnictwo składa się jedynie z pięciu samolotów treningowych i dwóch transportowych, kraj nie ma czołgów, większość rachitycznej marynarki wojennej stanowią patrolowce przejęte od policji, a budżet estońskiej armii wynosi ok. miliarda euro, czyli 80 razy mniej od funduszu Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

W RAZIE WOJNY
NIE BOJĘ SIĘ
Z RUSKIMI BIĆ.
BOJĘ SIĘ Z NIMI
PIĆ!



Rysunek: WIDGET

Gdy biurokracja się rozrasta, standardy nauczania pikuja.

Wybory w fabryce dyplomów

Na państwowych uczelniach w całym kraju kończy się kampania wyborcza. W najbliższych tygodniach, na czteroletnią kadencję, elektorzy wybiorą rektorów oraz dziekanów. Niestety, obraz uniwersytetów jest dziś żałosny i nie widać szans na poprawę sytuacji. Problemy trapiące szkolnictwo wyższe jak na dłoni widać na największym wydziale największego uniwersytetu w kraju – Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.

Od stalinizmu do pluralizmu i z powrotem

– Polska Ludowa była wprawdzie państwem autorytarnym i centralistycznym (cenzura była zamachem na wolność badań), ale trzeba przyznać, że po destalinizacji autonomia uczelni była zagwarantowana w znacznie większym stopniu niż obecnie – mówi jeden ze starszych profesorów. – Neoliberalna uniformizacja i drobniagowa nakazowość sparaliżowały szkolnictwo. Niektóre zmiany były potrzebne, choć uwikłanie w biurokratyczny obłęd spowodowało, że bilans jest ujemny. A gwoździem do trumny okazała się reforma Gowina. Na grunt uczelni przeniesiono najgorsze cechy autorytarnego, kaprańskiego stylu zarządzania. Z tymi tezami zgadza się duża część profesorów UW, w szczególności tych, którzy pamiętają PRL. Po transformacji wprowadzono logikę mnożenia bytów – duże podmiotowe ciała, zastąpiono małymi i niesamodzielnymi. Powojenny model radziecki, oparty na instytutach, zastąpiono ustrojem katedralnym. – Instytuty były jednostkami o utrwalonej renomie, a tworzące je środowiska były spójne pod względem ideowo-badawczym i zorientowane na konkretne dziedziny – wspomina jeden z wieloletnich profesorów UW.

Kierownik jednej z katedr przyznaje, że nowe ciała nie mają żadnej podmiotowości. – Katedry nie przyczyniły się do pobudzenia badań naukowych. Są pozbawione wpływu na dydaktykę, bo jest ona planowana centralnie na wydziale. Kierownik katedry nie ma także wpływu na podział pieniędzy, a jednocześnie musi brać odpowiedzialność za wydatki pracowników, parafując dokumenty. Władzę ma dziekanat, ale odpowiedzialność za błędne decyzje może zrzucić na mnie. Dawniej było inaczej: kierownicy instytutów spotykali się z dziekanem co tydzień w ramach kolegium dziekańskiego i wspólnie podejmowali decyzje – mówi.

Z wydziałowej ankiety przeprowadzonej przez prof. Jolantę Itrich-Drabarek wynika, że 82 proc. nauczycieli akademickich opowiada się za przywróceniem instytutów, a ledwie 15 proc. popiera system katedralny.

Diekan w krainie biurokratów

Skupienie całej władzy w rękach dziekana doprowadziło do biurokratyzacji wydziału. We wspomnianej ankiecie 82,1 proc. akademików domaga się zmiany organizacji administracyjnej. Ponadto pracownicy w tym badaniu wskazują, że „zarządzanie projektami badawczymi jest obecnie bardzo źle zorganizowane. Różne zadania związane z jednym projektem są podzielone na 10 osób, z których żadna nie bierze za nic pełnej odpowiedzialności”. Sam dziekan WNPiSM dr hab. Daniel Przystek oskarżany jest w ankiecie o zamordyzm: „dziekan nie może być wydziałowym imperatorem, ingerującym

w każdą dziedzinę funkcjonowania wspólnoty. (...) Rolą dziekana jest funkcja arbitra we wspólnocie, a nie osoby zarządzającej strachem”.

Studenci również narzekają na biurokratyzację. – Na wydziale nic nie da się załatwić. Zawsze trzeba pisać miliony podań, które przypominają wypełnianie formularza PIT. Nie ważne, czy chcemy zmienić grupę zajęciową, czy zorganizować konferencję w ramach koła naukowego – mówi studentka europeistyki. Sekcja studencka, czyli najważniejszy organ administracyjny, jest czynna średnio dwie godziny dziennie, otwartych okienek jest zawsze zbyt mało, a studenci stoją w niekończących się kolejkach. Gorzej niż na poczie.

Sytuacja finansowa zmusza większość studentów do podjęcia pracy, ale uniwersytet metodycznie im to utrudnia. – Grupy zajęciowe rozsiane są po całym tygodniu, różne zajęcia odbywają się w tym samym czasie, w ciągu semestru zmieniają się ich godziny, a ostateczny plan ustala się na gębę z wykładowcami dwa tygodnie po rozpoczęciu semestru. Większość studentów pracuje na akord, bo w tym chaosie niemożliwe jest ustalenie regularnych godzin pracy – żżyma się student bezpieczeństwa wewnętrznego. Ponadto informatyczny system uczelni nie jest przygotowany na wzmóżony ruch podczas rejestracji i w dniu zapisów przestaje działać. Przydziały do grup są w większości losowe. – To jest dramat – podsumowuje uniwersytecką biurokrację student spotkany na kampusie.

Akademicka fabryka gwoździ

Pracownicy naukowcy zgodnie przyznają, że jakość kształcenia na uczelni systematycznie się pogarsza. Programy studiów są nieprzemyślane – ważne przedmioty ogólne zostały zlikwidowane lub zmarginalizowane. Część tematów powtarzana jest kilkakrotnie na różnych nieskoordynowanych ze sobą zajęciach. – Nad programami studiów nikt nie panuje. Trzeba zreformować programy podstawowych kierunków: politologii czy stosunków międzynarodowych. W szerokiej debacie musimy odpowiedzieć na pytanie: po co są te studia? Niestety, zamiast debaty i reform wprowadza się różne dziwactwa jak np. zajęcia o futbolu w Europie (dla politologów) – komentuje doświadczony wykładowca.

Kolejnym problemem trapiącym świat nauki jest ciągła formalizacja, m. in. wtłaczanie problemowych programów zajęć w ramy sylabusu, sprawozdawcze wymogi nauczyciela akademickiego czy wprowadzenie punktów ECTS (mających mierzyć czas i nakład pracy studiujących). Wytoczne płyną z ministerstwa, a władze WNPiSM wdrażają je ze stachanowskim zapalem. – Większość profesorów zgodnie ocenia: sylabusy będące symbolem formalizacji uniwersytetów są dziełem kretyna dla kretyna. To jest obrazu inteligencji ludzkiej, schemat, który nadaje się nie do kształcenia uniwersyteckiego, a do instruktażu obsługi karabinu na szkoleniu dla poborowych. Poborowy wie, jakie są rodzaje broni, do czego służy karabin, z czego się składa; rozumie, że z karabinem trzeba ostrożnie; umie rozłożyć i złożyć karabin, załadować i strzelać, więc nadaje się do okopów – obrazowo opisuje to jeden z profesorów. – Następnie pomylenie pojęć: „Efekty kształcenia” zawarte w sylabusie nie są w istocie efektami, lecz celem, którego osiągnięcie stwierdzić można dopiero po zakończeniu zajęć. Groteskowe jest określanie efektów kształcenia przed rozpoczęciem kursu. Szczególnie w przypadku myśli politycznej, etyki

czy socjologii prawa. Jest to tylko ogólnikowym wymienieniem tematów zajęć skwitowanym pożądanymi życzeniami – dodaje.

Wykładowcy przyznają, że uniwersytet coraz bardziej przypomina fabrykę gwoździ, w której liczą się wyłącznie wskaźniki dające się umieścić w tabelkach i przeliczyć na punkty, a w ostateczności na pieniądze. Ginie zaś to, co odróżnia uniwersytet od zawodówki: zdolność samodzielnego myślenia, merytorycznej debaty i wyciągania wniosków.

Wyższa szkoła zawodowa

Temat jakości studentów zawsze budził kontrowersje. Nie jest tajemnicą, że większość zdających na uczelni nie dąży do samorozwoju, lecz do zdobycia dyplomu. Papierka z uczelni pracodawcy wymagają nawet na tych stanowiskach, które z powodzeniem mogliby obsadzić absolwenci szkół średnich. Dlatego na uczelni idą nawet ci pozbawieni elementarnej wiedzy. – Od lat w szkolnictwie powszechnym obcinana jest podstawa programowa, w szczególności z przedmiotów humanistycznych, m.in. z historii. Akurat ja prowadzę przedmioty związane z historią najnowszą i gdy pytam o wydarzenia z XX wieku, większość studentów odpowiada, że nie zdążyli przerobić tego w szkole. Nie jestem w stanie w trakcie trzydziestu godzin przedmiotu nadrobić lat szkolnych zaniedbań – mówi jeden z wykładowców. W nieoficjalnych rozmowach, nawet władze uczelni przyznają, że znakomita większość studentów, do studiowania się po prostu nie nadaje. W PRL studia były zarezerwowane dla najzdolniejszych, a pozostali mogli znaleźć swoje miejsce na przyfabrycznych kursach zawodowych bądź w szkołach policealnych. W ciągu ostatnich 35 lat kształcenie zawodowe zniszczono, a masy skretyniałej młodzieży zasiliły uniwersytety. – Niektóre zajęcia urągają powadze uniwersytetu: prowadzący zamiast wykładu, wyświetlają prymitywne prezentacje. Eliminowane są prace pisemne, a w ich miejsce pojawiają się debilne testy. Większość pytań ma formę „prawda/fałsz” albo „a/b/c”. Tracą na tym ci, którzy z uczelni chcą wynieść coś więcej niż dyplom. Niestety, dziś władze wydziału są przeświadczone, że nawet imbecyl może zostać magistrzem” – recenzuje rozgoryczony student stosunków międzynarodowych.

Caryca Justyna i król Aleksander

Traktowanie uczelni jak sklepu z dyplomami skutkuje zanikiem więzi między studentami a macierzystą uczelnią. Najjaskrawszym tego przykładem jest działalność tzw. samorządu studenckiego. W teorii reprezentuje on interesy studenckiej braci i posiada bardzo silny mandat demokratyczny, gdyż wybiera go ogół studentów. W rzeczywistości do samorządu wystawiana jest wyłącznie jedna lista „Wspólnie dla Wydziału”,

kandydatów jest tyle co miejsc do obsadzenia, a większość studentów uważa wybory za farsę – bierze w nich udział ok. 10 proc. uprawnionych. Na WNPiSM samorząd od lat trzyma za twarz Justyna Smoleń, studentka piątego roku stosunków międzynarodowych. Samorządowcy przyznają, że obecna przewodnicząca nie ma konkurencji, bo wzorując się na Ludwiku XIV, rządzi w myśl zasady „Samorząd to ja!” Reforma Gowina przyznała temu ciału szerokie uprawnienia, spośród których najważniejszymi są samodzielność finansowa i wpływ na wybór dziekana. Obecny dziekan, licząc na poparcie, dba o ich przychylność i hojnie finansuje to towarzystwo. Problem w tym, że zwykli studenci raczej nie mają szans na zobaczenie samorządowych pieniędzy. – Parę lat temu samorząd dostał kilkadziesiąt tysięcy złotych na zorganizowanie największego w historii wyjazdu integracyjnego. Ostatecznie pojechało raptem 40 osób – głównie samorządowców – a kasę wziął kolega przewodniczącego. Z kolei w zeszłym roku podczas tzw. połówek zwykli studenci bawili się w zatłoczonej sali i płacili po 20 zł za szklankę piwa, a samorządowcy siedzieli w luksusowej łozie ze skórzanymi kanapami, prywatną kelnerką i darmową wódką. Oczywiście wszystko za uniwersyteckie pieniądze – opowiada student politologii spotkany pod Auditorium Maximum. Jego koleżanka komentuje zaś walory moralne samorządowców: – Aleksander Hebda, czyli przewodniczący samorządu centralnego, kilka lat temu upił się na kampusie i wyzywał rektora, a następnie wdał się w bójkę ze strażą akademicką. Oczywiście nie poniósł żadnych konsekwencji. Za dużo wiedział.

Pytanie o udział w wyborach, studenci kwitują śmiechem. Krytyczne zdanie o samorządzie ma również kadra akademicka. – To nie jest żadna emanacja mas studenckich, a jedynie kółko wzajemnej adoracji kolaborujące z dziekanem w poszukiwaniu konfitur i apanaży. Jest to środowisko zdemoralizowane i skorumpowane, a frekwencja wyborcza świadczy, iż nie ma absolutnie żadnej legitymacji – puentuje gorzko jeden z profesorów.

• • •

Dziś na wydziale panuje atmosfera strachu. Wszyscy nasi rozmówcy zastrzegli sobie anonimowość. Zarówno kadra akademicka, jak i studenci są świadomi, że wydział nie ma żadnej strategii ani perspektywy na przyszłość. Odpowiedzialny za powyższą sytuację dziekan zdaje się nie dostrzegać problemów wydziału, a priorytety widzi w nieco innych miejscach niż większość jego poddanych: „Jak Państwo wiecie zawsze jestem otwarty na wszelkiego rodzaju inicjatywy studenckie i czekam na propozycje. Mam nadzieję, że w nadchodzącej kadencji uda się wspólnie wiele zdziałać. Planujemy m.in. doposażenie Klubu Studenta (np. o gry planszowe) oraz organizację letnich spotkań przy grillu. (...) W przyszłej kadencji, po wielu latach wrócimy do tradycji balu z okazji graduacji oraz balu absolwentów, które organizowane będą na wzór uczelni ze Stanów Zjednoczonych” – ogłosił w swym wyborczym programie.

– Chciałbym, żeby mijające cztery lata były pierwszą i ostatnią kadencją Przystka – podsumowuje jeden z profesorów. – Wiem jednak, że zawsze może być gorzej, np. gdyby wydział się rozpadł – dodaje optymistycznie.

DANIEL SMOLIŃSKI

Kosmiczny kopniak

O znaczeniu 12 kwietnia w podboju Kosmosu.

W dawnych dobrych czasach zimnej wojny... a w zasadzie – nie. Zaczęć inaczej. Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych wobec licznych kontrowersji i niesnasek, jakie pojawiły się między mocarstwami w minionych 30 latach, ustanowiło 12 kwietnia świętem Międzynarodowego Dnia Załogowych Lotów Kosmicznych.

To zdawałoby się trywialne oświadczenie zgromadzenia o neutralnej i nienacechowanej politycznie wymowie poprzedzane było trwającą lata sprzeczką między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim na poważnym wówczas, jak się zdawało, tle.

W rękę mu dali nagan nabity

Rosjanie – nie bójmy się tego słowa, to byli Rosjanie – 12 kwietnia 1961 r., wysłali w Kosmos człowieka znanego jako Jurij Gagarin, którego zasadniczym zadaniem było przeżyć. Miał to być dla niego łatwe. Został zastrubowany w kulistej kapsule o średnicy 230 cm statku kosmicznego Wostok, jak to dostojnie nazwano, gdzie miał pozostać, przez dwie godziny. Mógł w tym czasie dłużyć w nosie, zastanawiać się, jak to jest być lokatorem niedźwiedziego żołądka, biorąc poprawkę na to, że życie ludzkie to w ogóle jakiś stan przejściowy. A w zasadzie musiał, ponieważ na to, co się działo z ową kapsułą, nie miał zasadniczo żadnego wpływu. Dano mu rozkaz wrócenia żywym na Ziemię, co miało raczej wymiar formalny. Tak czy siak i tak nie miał w tej sprawie dużo do zrobienia.

Generalnie start odbył się w miarę pomyślnie. Rakietę wyniosła Gagarina do granic Kosmosu i faktycznej granicy powierzchni naszej planety, która, wbrew temu, co się powszechnie uważa, nie znajduje się na jej stałej powierzchni, jaką codziennie traktujemy butami, tylko 100 km nad nami.

W każdym razie Gagarin wewnątrz statku dotarł do rzeczywistego, aczkolwiek umownego Kosmosu. Przeleciał tak sobie wokół Ziemi z prędkością 8 km/s. Następnie kapsuła siłami bezwładności, grawitacji oraz przy skromnej pomocy własnego napędu ponownie zaryła w atmosferę. Po jej przekroczeniu rozpoczęła spadanie ku powierzchni tej warstwy ziemi, na której aktualnie się znajdujemy. Niestety, okazało się, że rozkazu mu danego starszy lejttnant może nie wypełnić i ugotować się jak krewetka. Pirotechnicznie odstrzelono wąż kapsuły na wysokości 7 km i Gagarin wraz z fotelem opuścił pojazd. Do stałego lądu dotarł na własnym spadochronie, a jego kapsuła na własnym. Było to jednak skrzętnie przez lata ukrywane.

Ruszyli z posad bryłę świata

Rosjanie ogłosili wielki sukces człowieczeństwa polegający na wysłaniu pierwszego człowieka w przestrzeń okołoziemską, co

w czasach zimnej wojny było niczym kopniak w krocze amerykańskiego imperializmu. Wymowa kopniaka była dla Stanów Zjednoczonych druzgocąca.

Oto totalitarne bolszewickie państwo, które w największej wojnie na świecie straciło 25 mln obywateli, następnie w niej zwyciężyło bez użycia bomby atomowej, mające zrujnowany przemysł, wygrało istotną rundę zimnowojennego pojedynku, umieszczając człowieka na orbicie. Amerykańska pragmatyczna, niezrujnowana przez choćby

jedną eksplozję, wolnorynkowa gospodarka, ich zajeźbista myśl techniczna wspierana przez wybitne żydowskie umysły ocalałe z holokaustu, a także naukowców wcześniej głowiących się dla potęgi hitlerizmu (von Braun), została pokonana przez jakiegoś odlewnika, syna pracownicy kolchozowej obory. Matka Gagarina była dojarką, w czasach kiedy nie używano do tej pracy maszyn.

Co gorsza, Rosjanie wkrótce ustanowili 12 kwietnia Światowym Dniem Kosmonautyki, narzucając niejako swoją wolę całej planecie. W czasach Edgara Hoovera – szefa Federalnego Biura Śledczego (FBI), takiej amerykańskiej policji politycznej – które trwały 50 lat, kiedy każdy komunista był traktowany jak obecnie człowiek w turbanie spacerujący po Tel Awiwie, było to nie do pomyślenia.

Ostatni pierwszymi

Na różne sposoby kwestionowano twierdzenia Rosjan. Po pierwsze, czy lot w ogóle się odbył. Po drugie, czy był on załogowy, skoro w statku latającym był tylko jeden człowiek. Cóż to za załoga?!

Po trzecie, amerykański wywiad ustalił, że statek i pilot wrócili na Ziemię oddzielnie. To zgodnie ze standardami Międzynarodowej Federacji Lotniczej nie powinno być uznawane za misję zakończoną sukcesem. Wojna propagandowa przybierała momentami zabawne formy. Rosjanie

„NAZWISKO
PIERWSZEGO CZŁOWIEKA
CZŁOWIEKA NA KSIĘŻYCU.”
NA 9 LITER.

MOIM ZDANIEM
ARMSTRONG,
ALE ZNAJĄC
MAMUSIĘ, BĘDZIE TO
KACZYŃSKI.



Rys. WIDGET

nakręcili film opowiadający historii lotu Gagarina pod tytułem „Pierwszy człowiek, który pokonał grawitację”. Po wylądowaniu Amerykanów na Księżycu osiem lat później, które dyskredytowano tymi wszystkimi inspirowanymi przez Rosjan historyjkami, że żadnego lądowania nie było, a wszystko jest fantazją reżyserów i hollywoodzkiej sztuki filmowej, Amerykanie, dokumentując osiągnięcie Armstronga w formie filmowej, dali mu tytuł „Pierwszy człowiek”.

Wyższość psychologiczna „pierwszego człowieka” nad „pierwszym człowiekiem pokonującym grawitację” (co zresztą nie jest prawdą, bo każdy z nas codziennie to robi) jest oczywista. Pół miliona to zawsze więcej niż 500 tysięcy. Tak w każdym razie się zdaje.

Skradzione święto

Kulminacją sporu i pokazaniem ruskim środkowego palca był lot wahadłowca Columbia, pierwszego w historii statku kosmicznego wielokrotnego użytku, który wystartował 12 kwietnia 1981 r. Przebywał na orbicie przez dwie doby. Pozwoliło to Amerykanom 12 kwietnia ustanowić własne święto, nazwane Światowym Dniem Załogowych Lotów Kosmicznych w opozycji do radzieckiego Dnia Kosmonautyki.

Na kompromis świat czekał kolejne 25 lat. Ustalony został przez ONZ, jak napisałem na wstępie. Dzień przestał być „światowy” a został „międzynarodowy”. Narody Zjednoczone wyraziły jednocześnie „głębokie przekonanie o wspólnym interesie ludzkości w promowaniu i rozszerzaniu eksploracji i wykorzystania przestrzeni kosmicznej, jako domeny całej ludzkości, dla celów pokojowych oraz w ciągłych wysiłkach mających na celu rozszerzenie czerpanych z niej korzyści na wszystkie państwa”.

Po tej deklaracji zainteresowanie Kosmosem zmalało. Oba mocarstwa (wówczas już Rosja) zredukowały wydatki na krążenie w kółko wokół Ziemi w odległości, jaka jest między Białymostkiem a Krakowem. Pojawił się też trzeci gracz – Europejska Agencja Kosmiczna, która ma znaczne osiągnięcia.

W obecnej sytuacji zapewne zainteresowanie podbojem Kosmosu wzrosło, przede wszystkim i tak naprawdę dlatego, że daje on przewagę w uśmiercaniu siebie nawzajem na Ziemi. Zresztą intencją większości programów kosmicznych było nie tyle zintensyfikowanie oglądalności telewizji dla sprzedawania większej ilości reklam pizzy i pieczonego indyka, ale uzyskanie przewagi politycznej oraz militarnej. Europejska Agencja Kosmiczna jest organizacją cywilną, natomiast jej amerykański i rosyjski odpowiednik – już nie.

Jeżeli jest jakiś sens w badaniu Kosmosu, to przede wszystkim w nadziei na przełom świadomości gatunku ludzkiego, etyki, filozofii. Kiedy nasza cywilizacja na masową skalę uświadomi sobie, że tak naprawdę wszystko jest pustką albo prawie, prawie, prawie, prawie, prawie, prawie, prawie, niemal pustką, staniemy się lepszymi ludźmi. Pozorna marność doczesnej egzystencji, nasze życie do którego niekiedy mamy wielce pogardliwy stosunek, nabierze kosmicznie wielkiego znaczenia.

ROBERT JARUGA

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Liczykupy z „Business Insider” stworzyły ranking najlepszych do życia miast w Polsce. Bezrobociu, placom, cenom mieszkań, dostępowi do opieki zdrowotnej, przestępczości i jakości powietrza przypisano wartości liczbowe, a następnie wyliczono średnią ważoną. W rezultacie tej arytmetyki na pierwszym miejscu jest Olsztyn, Lublin dalej, na trzecim Poznań i Gdańsk. Oczywiście, że głupie, ale właśnie dlatego o tym piszemy.

■ Polacy domagają się od sektora bankowego w złożonych w minionym roku pozwach sądowych prawie 22 mld zł. Było ich ponad 100 tys. Liczba reklamacji usług finansowych według „Dziennika Gazety Prawnej” wyniosła 2,2 mln. Oznacza to, że przemysł finansowy, jak się go teraz zwykło nazywać, jest najgorzej

funkcjonującą gałęzią gospodarki w tym kraju. Nie starajmy się nawet wyobrazić, co by oznaczało, gdyby choć 100 tys. pozwów trafiło przeciw służbie zdrowia albo 2,2 mln reklamacji przeciw branży spożywczej.

■ Musimy wrócić do informacji sprzed czterech tygodni o lokomotywie, którą ufundował mieszkańcom urząd miejski w Piastowie. Jak się okazuje, wkradli się tam niejaki niedoładności. Wytknęli je czytelnicy. Zatem parówóz kupiono na złomie za 76 tys. zł. Potem wyremontowano i spiedestalizowano maszynę na sztucznym torowisku za 400 lub 800 tys. zł (różnie źródła różnie podają). Lokomotywa stanęła obok stacji kolejowej, ponieważ był to pierwszy postój pociągu Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w drodze do Wiednia, która to kolej wybudowana była w 1848 r., za panowania Rosji w Polsce. Piastowska lokomotywa to wyprodukowana w hitlerowskich Niemczech Kriegslokomotive (lokomotywa wojenna) Ty2-220 z roku 1943. Nigdy nie jeździła na trasie Warszawa – Wiedeń. Wozila formacje Wehrmachtu z Berlina pod Leningrad w ZSRR.

■ Wszelkie unowocześnienia systemu parkowania w miastach ludzie tacy jak ja, którzy ongiś podjeżdżali po prostu pod miejsce pracy i zamykali samochód, postrzegają jako regres

cywilizacji. Komplikowanie rzeczy prostych. Mamotrawienie społecznych i prywatnych pieniędzy. Obecnie w Warszawie można za parkowanie zapłacić aplikacją i nie trzeba wsadzać biletu za szybę samochodu. Oznacza to, że 2 tys. parkometrów, z których każdy kosztował ok 10 tys. zł jest niepotrzebnych. Przy okazji się okazuje, że bilet za parkowanie, jeżeli został kupiony w parkometrze, należy przetrzymać dwa lata, bo w takim czasie władze miasta mogą domagać się opłaty dodatkowej za jego rzekome nieposiadanie.

■ Niemiecka policja zastrzeliła bezdomnego Polaka, który modlił się przed kościołem św. Rajnolda w Dortmundzie. Niemcy jak zwykle utrzymują, że to Polak był agresorem. W przezwach klepania pacierzy po polsku miał okładać piętem ze stali zbrojeniowej innych żebrzących pod tym samym kościołem. W końcu Niemcy, jak to Niemcy, użyli gazu, aby żebraka uspokoić. Że się nie udało, oddano strzały w obronie własnej niemieckiej policji, które okazały się śmiertelne. Już nie raz słyszeliśmy takie pierdoły.

■ Tragiczne informacje napłynęły też z Zakopanego. Nagły podmuch wiatru przewrócił przydrożne drzewo wprost na jadący ul. Stachonie samochód. Kierująca nim mieszkanka powiatu

tatrzańskiego, lat 23, została zakleszczona w pojeździe. Strażacy użyli specjalistycznych narzędzi, aby uwolnić poszkodowaną. Mimo reanimacji nie udało się jej uratować. Nagle podmuchy halnego i przydrożne drzewa są w Zakopanem normą. Starajmy się o tym pamiętać.

■ W Krakowie, jak to w Krakowie, policja ścigała oszalełego kierowcę, który mając 1,5 promila czystego spirytusu we krwi, pędził przez miasto, taranując po drodze pięć aut. Następnie porzucił samochód. Chciał zbiec, płynąc wraz z prądem Wisły. Dlatego wskoczył do wody. Niestety nie dano mu się utopić, nie wiadomo zresztą, dlaczego. Szkoda. Tym razem trupów nie było.

■ Jak wspominaliśmy trzy tygodnie temu, konfiskata aut pijanym kierowcom jest niezgodna z konstytucją. Obecnie do tego samego wniosku doszło nawet Ministerstwo Sprawiedliwości, które zawiesiło stosowanie tego idiotycznego prawa na czas pisania nowelizacji. Rozumiemy, że chodzi o nowelizację Konstytucji RP. Wyręczyliśmy już pana

ministra. Artykuł 32 pkt. 2 ustawy zasadniczej w nowym brzmieniu powinien więc być taki: „Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiegokolwiek przyczyny, z wyjątkiem prowadzących pojazdy mechaniczne, u których zawartość alkoholu w krwiobiegu przekracza 1,5 promila lub 0,75 mg/dmsześć w wydychanym powietrzu”.

■ Wadowickie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji wraz z władzami samorządowymi zainwestowało w nowoczesne filtry



Rys. WIDGET

Modele polskiego patriotyzmu.

W ostatnim numerze „Przeglądu” wybitny historyk profesor Andrzej Romanowski zamieścił dobitną i wnikliwą krytykę kultu żołnierzy wykłętych i zaangażowania w ten kult całej polskiej sceny politycznej od prawicy (dwaj prezydenci Lech Kaczyński i Bronisław Komorowski) do lewicy (profesor Tomasz Nałęcz). Krytykę tę prof. Romanowski prowadzi od dawna,

Rozważni i romantyczni

zawsze z najwyższą kompetencją naukową i wielką odwagą cywilną, często samotnie jak ów przysłowiowy „nus defensor Mariae”. Zwraca uwagę na to, że ta pochwała postaw straceńczych znajduje również wyraz w bezkrytycznej apoteozie powstania warszawskiego, w beznamiętnej globalnej negacji Polski Ludowej, wszystkich jej przywódców i budowniczych. Tym razem te pełne smutku i zdziwienia rozważania Romanowski kończy stwierdzeniem, że takiego zauroczenia elit politycznych i intelektualnych patriotyzmem straceńczym – skierowanym nie przeciw zaborcom lecz przeciw sobie samym – i niszczącym wspólnotę narodową Polska w tej skali nie doświadczyła nigdy. Wszyscy od prawa do lewa zostaliśmy zarażeni kłamstwem.

Ruchy polityczne często w tej czy innej mierze, szukając dla siebie wsparcia w narodowej mitologii, ocierają się o historyczne kłamstwa. Tym razem jednak przytłacza i zadziwia rozmiar tego zakłamania oraz powszechność jego aprobaty może nie w społeczeństwie jako takim, ale w jego części aktywnej politycznie. Stopniem oglupienia w swej polityce historycznej Polska zwana czasem posierpniową – ściślej byłoby powiedzieć: posolidarnościowa – bije wszelkie rodzime i międzynarodowe rekordy. Nie da się tego zjawiska wyjaśnić jedynie wpływami prawicy.

Miała w tej dziedzinie swoje grzeszki również Polska międzywojenna, o której Jerzy Giedroyc pisał, że rządziła nią dwie trziny: Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego – przywódców dwu głównych i zwalczających się obozów politycznych.

Piłsudski był wielbicielem powstań narodowych – zwłaszcza styczniowego – ale nie beznamiętnym i absolutnym. W odczycie na ten temat, oceniając osobistość tego czasu, zapytuje: „Wielkości, gdzie twoje imię?” Najwięcej cech owej wielkości przypisuje margrabiemu Aleksandrowi Wielopolskiemu, skąd-

nąd zdecydowanemu przeciwnikowi powstania. „Chciałem go kochać za wielkość, bo miał on dumę i godność swego narodu” – oświadczył.

Dmowski był intelektualnym i politycznym krytykiem powstań narodowych XIX wieku. Błędnie skalkulowane i nie w porę wywołane były z góry, jego zdaniem, skazane na klęskę i stwarzały zagrożenie dla bytu narodowego. Gdy w 1904 r. Piłsudski udał się do Tokio z zamiarem uzyskania od Japonii wsparcia finansowego dla ewentualnego powstania w Królestwie, Dmowski pojechał tam również, aby te plany pokrzyżować. Często na temat powstań się wypowiadał. Weteranowi powstania styczniowego, który z dumą opowiadał, że inną wtedy drogą szliśmy ku Niepodległości, przerwał obcesowo: „Aleście nie doszli!”. Pokpiwał z „patriotów”, którzy myślą nie o tym, jak wspomóc Polskę, lecz głównie o tym, jak zaszkodzić Moskwie. W jednej ze swych najważniejszych prac („Polityka polska i odbudowanie państwa”) w poruszającym wywodzie uzasadniał swój sprzeciw wobec odziedziczonej po romantyzmie skłonności do lekceważenia realiów i wielbienia walki zbrojnej za wszelką cenę, „do ostatniego Polaka”. Warto przytoczyć fragment tego dziś niechętnie przypominanego rozważania:

„Iluż to ludzi w trzech pokoleniach słuchało z rozręzieniem słów patriotycznej pieśni: „Powstań, Polsko, skrusz kajdany – Dziś twój triumf, albo zgon...” Co do mnie, to te słowa obrażają moje najgłębsze uczucia, mój zmysł moralny. Człowiek, który w tym wypadku myśli to, co śpiewa, jest przestępcą. Sama myśl o tym, że Polska może skończyć, jest zbrodnią. (...) Bytu Polski ryzykować, jej przyszłości przegrywać nie wolno ani jednemu, ani organizacji jakiegokolwiek, ani całemu pokoleniu. Bo Polska nie jest własnością tego czy innego Polaka, tego czy innego obozu, ani jednego pokolenia. Należy ona do całego łańcucha pokoleń, wszystkich tych, które były i które będą. Człowiek, który ryzykuje byt narodu, jest jak gracz, któ-

ry siada do zielonego stolika z cudzymi pieniędzmi”.

Dmowski ma na sumieniu wielkie polityczne i intelektualne przewinienia. Też o Polakach prawdziwych i pół-Polakach, antysemityzm zoologiczny, skrajanie Polak – katolik i trochę innych. Wiele jednak można by mu odpuścić za sprzeciw wobec romantyzmu i wniesienie do myśli narodowej kategorii nowoczesnie pojmowanego interesu narodowego i realizmu. Zamiast pustostwa wielbiącego Ojców Niepodległości należałoby w podręcznikach szkolnych przytaczać in extenso te ich dociekania i zalecenia, które wytrzymały próbę czasu i pozostają aktualne do dziś, jak przytoczony manifest patriotyzmu mądrego i odpowiedzialnego Dmowskiego.

Gdy porównuje się rozważania politycznych przywódców naszego narodu sprzed stulecia na temat interesu narodowego i patriotyzmu ze współczesnymi nam wodzami, uderza miałość myśli i ubóstwo języka tych ostatnich.

Wraz z wejściem na scenę polityczną w XX wieku populistycznych tłumów, rozpanoszyli się też ich watażki ze swymi ciasnymi horyzontami myślowymi i prostą wyobraźnią. Polityka, zwłaszcza historyczna, pod wpływem populizmu stała się miałka, a umysły wybitniejsze od niej coraz częściej stronią. Nie tylko w Polsce. Walka z populizmem to także walka w interesie wyższych standardów kultury politycznej.

M.Z.

filtry i rozbudowało stację uzdatniania wody pitnej mocą 11 mln zł. „Jeśli będziemy pić dwa litry wody dziennie i kupować ją w sklepie, zapłacimy 972 zł rocznie. A pijąc tyle samo wody z kranu, wydamy przez rok niecałe 5 zł” – przekonywał do picia kranówki burmistrz Włodowic Bartosz Kaliński. Przyjmując wyliczenia burmistrza za prawdziwe, 17,5 tys. mieszkańców miasta mogłoby zaoszczędzić w ten sposób 8 mln zł prywatnych pieniędzy. Mniej więcej po półtora roku zacznie to na siebie zarabiać.

„To wielki dzień dla powiatu jasielskiego, ale także dla województwa podkarpackiego i nie przesadzę jeżeli powiem, że to bardzo ważny dzień dla Polski” – powiedział wicewojewoda podkarpacki Paweł Bartoszek, otwierając nowo wybudowane Centrum Zdrowia Psychicznego w Jasle. Kosztowało podatników 21,5 mln zł. Radość wojewody wynika zapewne z tego, że poprzednio centrum znajdowało się w budynku katowni Gestapo przy ul. Za Bursą, w którym dochodziło do przesłuchań z użyciem środków przymusu bezpośredniego. Świadomość tego faktu raczej nie wpływała wspomagając na leczenie zaburzeń osobowościowych i neurologicznych. Jeżeli chodziło Bartoszkowi o coś innego, raczej się mylił.

■ Mieszkaniec Gdańska, skazany na 4,5 roku więzienia za kradzieże z włamaniami, po 14 latach ukrywania się przed organami ścigania sam w końcu zgłosił się na komisariat, deklarując chęć odsiadki. „W gruncie rzeczy życie na wolności jest niebezpieczne, niestabilne, wymagające odpowiedzialności, a fortuna i tak bywa nietaskawa” – wyjaśnił policjantom. Pozbawienie wolności wiąże się ze stabilizacją, przewidywalnością, wolnością od trosk dnia codziennego okazało się być atrakcyjniejszą opcją.

■ Na gdańskie ulice wyjechał pierwszy autobus komunikacji miejskiej napędzany wodorem polskiej marki NesoBus, której fabryka znajduje się w Świdniku. Zużywa 8 kg wodoru na 100 km, który kosztuje 40 zł za kg. W zestawieniu z jednostką napędzaną dieslem, która spala 38 l oleju napędowego na takim samym dystansie, koszty są niewiele większe. Pojazd wodorowy jest bezemisyjny. Spalany w generatorze autobusu wódor, wytwarza energię elektryczną, która zasila silnik elektryczny. W efekcie spalania wodoru powstaje tylko woda. Jest to zatem obiecująca środek transportu. Problem polega na tym, że wódor nie występuje w stanie czystym na naszej planecie. Uzyskuje się go obecnie drogą elektrolizy wody, która jest energozorna,

droga i niebezpieczna. Jakby te trzy przymiotniki dało się wykreślić, tania i czysta energia stałaby się dla ludzkości faktem.

■ Nowym oficjalnym gadżetem warszawskiego Żoliborza została żółta gumowa kaczka oznaczona logiem dzielnicy. „Po naciśnięciu śmieszne piszczy” – relacjonują użytkownicy zabawki. Podążając za tą roztropnością, sugerujemy postawić kaczce pomnik. Jeszcze nie jest za późno.

■ Obserwacje mediów lokalnych pozwalają wnioskować, że częściej niż do tej pory umierają motocykliści. W ostatnich dwóch tygodniach stwierdziliśmy 16 przypadków w całej Polsce, czyli o dwa za dużo. Biorąc pod uwagę zeszłoroczne wyniki sezonu motocyklowego, trwającego około pół roku, kiedy zabiło się 189 osób, żeby to utrzymać, husaria srebrnych szos może poświęcić co najwyżej jednego jeźdźcę dziennie.

■ Odbyły się wybory samorządowe. Nasi wygrali!

PS Informacje pochodzą z mediów lokalnych, więc muszą być prawdziwe. Wspominamy o tym z ostrożności procesowej i ku rozważdze tych, którzy chcieliby traktować je jako jakieś fakty prawne.

RJ

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ Do skandalu obyczajowego z udziałem polskiego duchownego doszło w Wielkiej Brytanii. Polski ksiądz inkardynowany do diecezji częstochowskiej, delegowany do pracy w strukturach Polskiej Misji Katolickiej w Anglii i Walii został rozpoznany na zdjęciach ukazujących półnagich, obejmujących się mężczyzn w gejowskim kalendarzu. Sprawę przełożonym księdza zgłosili burzeni wierni. Jak potwierdził w rozmowie z mediami ksiądz Artur Strzępka kanclerz Polskiej Misji Katolickiej w Anglii i Walii, materiały napłynęły z różnych źródeł, głównie od osób świeckich. Ksiądz celebryta został natychmiast wezwany na rozmowę z przełożonymi, podczas której złożył rezygnację z urzędu proboszcza. Rektor misji tę rezygnację przyjął. Dodatkowo do czasu wyjaśnienia sprawy duchowny został odsunięty od posługi kapłańskiej. Niezależnie od dalszego postępowania kanonicznego, księdzu-rodakowi serdeczne Bóg zapłać za wspieranie mniejszości seksualnych.

➤ W czwartek 4 kwietnia w Sobótce (woj. dolnośląskie) doszło do szokujących scen. Z zatrzymanego na środku ulicy SU-Va wytoczył się – żeby nie powiedzieć: wypierdolił na asfalt – nietrzeźwy mężczyzna. Wezwane na miejsce zdarzenia służby potwierdziły, że upojenie 67-latką wynosi 1,5 promila w wydychanym powietrzu oraz że jest proboszczem z pobliskiej parafii. Według relacji świadków po zatrzymaniu duchowny miał płakać i mówić, że musi wracać do kościoła, by odprawić mszę. Ksiądz ma wkrótce usłyszeć zarzut popełnienia przestępstwa polegającego na prowadzeniu samochodu w stanie nietrzeźwości. Funkcjonariusze zabezpieczyli także samochód należący do mężczyzny na poczet przyszłej kary. Oświadczenie w sprawie zdarzenia przekazał rzecznik archidiecezji wrocławskiej ksiądz Rafał Kowalski. Jak wyjaśnił, natychmiast po zatrzymaniu duchownego został on odwołany z funkcji proboszcza, otrzymał nakaz opuszczenia parafii i udania się do miejsca wskazanego przez metropolitę (nie jest to żadna placówka duszpasterska). Tego samego dnia na miejsce nasączonego proboszcza w parafii został mianowany administrator, który podjął obowiązki duszpasterskie. Według wyjaśnień rzecznika, na zatrzymanego duchownego została nałożona jedna z kar przewidziana przez kodeks prawa kanonicznego. Szczegółów jednak nie zdradził. Liczne świadectwa mieszkańców Sobótki wskazują, że proboszcz nie pierwszy raz dał się zwieść na pokuszenie. Już wcześniej miał odprawiać msze i pogrzeby będąc pod wpływem alkoholu.



RYŚ. MIROSLAW HAJNOS

➤ Niepokojące wieści płyną z Torunia. Od kilku dni słuchacze Radia Maryja mają trudności z odbiorem ulubionej radiostacji. W środę 3 marca sygnał Radia Maryja był zagłuszony na satelicie Eutelsat, który następnie jest przekazywany na nadajniki UKF w Polsce. W efekcie słuchacze nie mieli dostępu do audycji »Rozmowy niedokończone« przez 45 minut. W piątek 5 marca nadawca znów poinformował o problemach technicznych. Jak przekazał Waldemar Gumowski z działu stacji nadawczych Radia Maryja, zakłócenia nie są stałe, a radio można słuchać bez przeszkód w internecie. Komunikat w sprawie zakłóceń sygnału rydzkowej rozgłośni wydała także Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. »Sygnał Radia Maryja (...) prawdopodobnie od kilku dni jest zagłuszany silnym sygnałem satelitarnym. Według dotychczasowych ustaleń źródło zagłuszenia nie znajduje się na terenie Polski. Sprawa jest już badana przez międzynarodową organizację Eutelsat IGO we współpracy z Krajową Radą Radiofonii i Telewizji» – przekazano w komunikacie KRRiT. Najwyraźniej na redemptorystów uwzględni się także lewackie cywilizacje pozaziemskie.

➤ Do Sądu Rejonowego w Tarnowie wpłynął akt oskarżenia przeciwko biskupowi diecezji tarnowskiej Andrzejowi Jeżowi. Zarzuca się mu, że nie powiadomił niezwłocznie organów ścigania o wykorzystaniu seksualnym małoletnich przez księży tej diecezji. Sprawa dotyczy przestępstw na małoletnich poniżej 15. roku życia, których dopuściło się dwóch kłechów – Stanisław P. i Tomasz K. Z ustaleń śledztwa wynika, że wprawdzie władze kościelne złożyły takie zawiadomienie odnośnie obu księży, jednak zdaniem prokuratury uczyniły to później aniżeli wymagają tego przepisy prawa. Według ustaleń prokuratury, Kościół dysponował informacjami o przestępstwach pedofilskich kapłanów, ponieważ prowadził wewnętrzne postępowanie w sprawie obu księży.

➤ W poniedziałek 1 kwietnia w Rabce Zdrój doszło do śmiertelnego wypadku. W wyniku huraganowego wiatru potężne drzewo runęło na trzy znajdujące się w jego pobliżu osoby. Zginęli siedmioletni chłopiec, jego 44-letnia matka, oraz 69-letnia kobieta. Na miejscu tragicznego zdarzenia równie szybko, co służby ratunkowe, znalazł się ksiądz proboszcz Dariusz Pacuła z miejscowej parafii pod wezwaniem św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Wtedy doszło do kolejnego kataklizmu. Podczas gdy służby pracowały na miejscu wypadku, kłecha postanowił wtargnąć w środek ich działań, aby udzielić ofiarom ostatniego namaszczenia. Kiedy pracujący na miejscu prokurator wyrzucił księdza, ten zaczął wykrzykiwać pod jego adresem groźby. Do sprawy w social mediach odniósł się Lucjan Zółtek jeden z policjantów zabezpieczających zdarzenie. »Pierwszy raz w życiu (służę 21. rok w policji) robię wpis o mojej pracy i chyba ostatni, bo ciężko ją normalnie ogarnąć. Uczestniczyłem dzisiaj w czynnościach oględzin strasznego wypadku, jaki miał miejsce w Rabce-Zdrój. Zginęli trzy osoby, starsza pani, młodzieńka mama i jej śliczny synek, siedmioletek. (...) Nagle wpada ksiądz i chce wejść, ja zareagowałem na to i stwierdziłem, że to nie miejsce i czas na jego sakramenty. Ksiądz wykrzyczał groźby, że za brak jego sakramentów odpowie prokurator i wszystko weźmie na swoje barki. Dla niego nie liczył się płaczący ojciec, tylko jego czary» – napisał policjant. Cóż, nie od dziś wiadomo, że chrześcijaństwo to amoralna religia.

➤ Czy i uszy mieszkańców woj. zachodniopomorskiego skierowane są w stronę afery romansu księdza z żoną lokalnego działacza Prawa i Sprawiedliwości. Figle jurnego duchownego miały doprowadzić do rozpadu małżeństwa, a sprawa znalazła swój finał w sądzie. Wieść gminna niesie, że wszystko zaczęło się gdy działacz udał się w kilkudniową delegację. Wówczas duchowny miał spędzić kilka nocy w jego domu. Po powrocie polityka żona miała go przekonywać, że spędzone z księdzem nocki poświęcała na wspólne redagowanie gazety. Polityk PiS nie dał wiary zapewnieniom połowicy i wynajął detektywa, który tylko potwierdził smutne przypuszczenia zdradzonego męża. Działacz skonfrontował się z kłechą, ale ten nie chciał komentować jego podejrzeń i zasłonił się szyderą. Jakby atmosfera była zażył mało gorąca, do skandalu włączyli się rodzice rogaacza z PiS. Ci mieli publicznie wypowiadać się o duchownym w daleki od uprzejmego sposób. Kiedy ksiądz ich spotkał, postanowił nagrać zająście. Na zarejestrowanym filmie zdenerwowany starszy mężczyzna mówił o rozbiću rodziny, a z jego ust padały przekleństwa. Duchowny natomiast miał go prowokować słownie i eskalować konflikt. Kłecha poszedł z nagraniem na policję i zgłosił znieśławienie. Rodzice działacza PiS uważają, że ksiądz chce ich zastraszyć, bo nie podoba mu się rozpowszechnianie informacji o jego romansie z synową. Obecnie postępowania w sprawie toczą się w sądzie rodzinnym i wydziale karnym sądu. To nie jedyny występpek sukienkowego Erosa. Na księdza już wcześniej miały wpływać skargi, dlatego też przy okazji kolejnej afery został przeniesiony do innej parafii.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Najniebezpieczniejsze dla Kościoła sekty wychodzą z jego łona.

Guru w koloratce

W styczniu gawiedź jeła się podniecać tym, że jakaś pani napisała w internecie, że w Czerwonaku koło Poznania jest sekta. „Są poszukiwani w wielu krajach w Europie, ponieważ zakładali różne kulty i nekali i uprowadzali ludzi. Wciągnęli mnie w to, mówiąc, że praktykują jogę, są weganami i ratują zwierzęta”.

Jak on widział

Niemal tuż po tej enuncjacji, media zarożyły się niusami o tym, że o pomoc poprosił w sieci młody obcokrajowiec, który twierdził, że jest tam więziony i potrzebuje pomocy. Pomoc okazała się zbędna, bo mężczyzna uciekł i zgłosił się na policję, gdzie złożył obszernie zeznania. Wtedy okazało się, że młodziak jest liczącym sobie 41 wiosen Hiszpanem.

Wkrótce po tym w Czerwonaku pojawiło się kilka radiowozów policji. Gliniarze weszli do środka, towarzyszył im tłumacz. W budynku było siedem osób, obywateli kilku krajów – kobiety i mężczyźni w różnym wieku. Jak opisywała policja, wszyscy byli zaskoczeni obecnością służb, ale chętni do współpracy i rozmów z funkcjonariuszami. Tak oni, jak i dziennikarze dowiedzieli się od mieszkańców budynku, że ci nie słyszeli o żadnej sekcie. Dowodzili, że są organizacją proekologiczną i opiekują się zwierzętami. Powiedzieli też, że organizacja została założona w Hiszpanii, następnie przeniosła się do Berlina, a stamtąd pod Poznań.

Gliniarzom i żurnalistom zmiekkła rura. Policja komunikowała, że według jej ustaleń „żadna z osób nie była tam przetrzymywana, a 41-letni obywatel Hiszpanii, którego dotyczyło wcześniejsze zgłoszenie, przekazał policjantom bardziej to, jak on widział pobyt w tym domu. W żaden sposób nie wskazywał, że ktokolwiek go do czegośkolwiek zmuszał. Na tym etapie sprawy nie pojawiają się żadne dowody na to, że był on przetrzymywany tam wbrew własnej woli. Zrobiliśmy przeszukanie tego domu. W ocenie policjantów nic nie budziło wątpliwości co do warunków, w jakich żyją te osoby. Klucze od drzwi wejściowych oraz innych pomieszczeń znajdowały się w ogólnie dostępnym miejscu”. Gliniarze odpuścili, ale media nie.

Pojawiły się wtedy relacje anonimowego informatora. „Tego dnia, gdy uciekłem z domu w 2019 roku, w którym razem mieszkaliśmy, całkowicie zaprzestałem kontaktu z liderem. Jest on złą oraz bardzo skomplikowaną osobą, manipulującą ludźmi jakkolwiek zechce. Jest człowiekiem nieprzyjmującym sprzeciwu. Nieoficjalnymi zasadami, które obowiązywały jeszcze przed moją ucieczką, było między innymi słuchanie określonej liczby jego światopoglądowych konferencji, uczestnictwo w zajęciach ze sztuk walki, chodzenie nago po domu – te zasady się powtarzały. Był również taki czas, kiedy domownicy musieli płacić mu określoną kwotę pieniężną. Mężczyzna był obserwowany przez służby i podejrzany o przetrzymywanie dziewczyny w łazience oraz karmienie jej psim jedzeniem. Zdecydował, by uciekać z kraju do kraju, żeby w ten sposób unikać aresztowania”.

Oczywiście gliniarze wrzucili to wszystko na międzynarodowy „bęben” i wyszło, że do nikogo z grupy,

żadna policja nic nie ma. Po cholere więc o tym piszę – ano dlatego, żeby pokazać, jak wszyscy jesteśmy przewrażliwieni na termin sekta.

Niesłusznie. Sekta bowiem nie jest już dziś zjawiskiem, które odnosi się do tylko do religii. Badacze znają sekty terapeutyczne, ekonomiczne czy ekologiczne. No i oczywiście sekty polityczne, w swoich skrajnych postaciach skupiające ekstremistów i fanatyków politycznych. Wciskany nam przez lata element religijny sekty jest dla dzisiejszych badaczy zupełnie nieistotny. Bo destrukcja „sektogenna” związana z psychomanipulacją przekracza zjawisko religii. Jest jednak jedna rzecz, która łączy wszystkie sekty – jeśli się którąś z nich określi tą nazwą, to wszyscy członkowie będą święcie oburzeni.

Zdestruowani

Dla policji sekty też są problemem. Dlatego na oficjalnych stronach komend wiszą ostrzeżenia niczym przed metodą na wnuczka: „Nie dawaj członkowi sekty żadnych pieniędzy. Wiele sekt działa na zasadzie – oskarżaj rodzinę i bierz od niej pieniądze”. Oprócz tego strzegą świeckiego wszak państwa policja zamieszcza „Spis adresów pod którymi można otrzymać dodatkowe informacje oraz ewentualną pomoc w zakresie niwelowania działalności sekiarskiej”. Jest więc zamiar do Dominikańskiego Centrum Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach w Polsce, jest Ruch Obrony Rodziny i Jednostki z lubelskiej Kłasztoru Braci Mniejszych Kapucynów, jest Dominikańskie Centrum ds. Sekt i Kultów, no i Dominikański Ośrodek Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach też jest, a nawet Katolickie Centrum Edukacji Młodzieżowej KANA. Dziwnie natomiast nie ma tu żadnego ośrodka świeckiego i państwowego. Policja reklamuje zatem kościelne organizacje powołane do zwalczania – niczym w średniowieczu – herezji i schizmatyków. Czyli wszystkich tych, którzy chcieliby naruszyć watykański monopol na przepieranie mózgów.

Teoretycznie zadaniem dominikańskich ośrodków jest ochrona owieczek przed „manipulacją psychologiczną, doktrynalną i ideologiczną oraz niesienie pomocy ludziom uwikłanym w sekty i uzależnionym od indoktrynacji psychicznej, a także ich bliskim i przyjaciołom”. Braciszkanie mają kilkaset lat wprawy w definiowaniu wszelkiego

gwałtu na katolickiej psychice. Oprócz tego korzystają na bieżąco ze zdobyczy psychiatrii, psychologii i socjologii. Dzięki temu wiedzą o sektach wszystko. Choćby to, że zamiast obiecwanego przez sektę rozwoju, następuje destrukcja osobowości polegająca na zniszczeniu dotychczasowych cech osoby oraz jej roli w rodzinie i społeczeństwie. Rzecz jasna dla dominikanów nie ma nic złego w tym, że nastolatek, zamiast grać w strzelankę, kilka godzin leży plackiem na kościelnej podłodze, śpiewa pieśni religijne i z radością spędza w kościele każdą wolną chwilę.

Dla dominikanów symptomami destrukcji może być „nagła zmiana wyznawanych przez młodego człowieka wartości, obniżenie elastyczności umysłowej, posługiwanie się ustalonymi stereotypami reakcji psychicznych”. Niepokój musi zatem budzić przejście na wegetarianizm i kumpłowanie się z łysymi osobnikami w pomarańczowych ubrankach. Na tych zaleceniach dominikanie kończą. I prawdę powiedziawszy, poza wywieszeniem takich informacji w sieci nic nie robią. Bo nie muszą.

W ciągu ostatnich kilku lat o niekatolickich sektach religijnych, z powodu ich braku, jest w mediach cicho. Zaś sekt mających doktrynę zgodną z nauką Watykanu,

dominikanie nauczani setkami lat kościelnych doświadczeń, wołać nie dostrzegają.

W jednym łóżku

Bo co mają robić, gdy księdzu prezbiterowi archidiecezji warszawskiej będącemu jednocześnie liderem kościelnej Fundacji Dobrej Edukacji Maximilianum zarzuca się „aranżowanie małżeństw, wymuszanie na nich posłuszeństwa podczas spowiedzi. Stosowanie psychicznej i werbalnej przemocy. Zapraszanie mężczyzn do nocowania w jednym łóżku z księdzem. Skierowanie do seminarium grupy mężczyzn, którzy mieli być posłuszni jedynie założycielowi wspólnoty, który ich tam skierował, a nie przełożonym. Wieloletnie lekceważenie przepisów prawa kanonicznego, nielegalne sprawowanie posługi, a nawet świadome wzywanie do okłamywania biskupów i stworzenie sekty”.

Zarzuty postawił na You Tube’ie były członek Maximilianum, dając temu swoją twarz, imię i nazwisko. Opowiadał, jak ksiądz kontrolował każdy najdrobniejszy aspekt życia wspólnoty, np. rodzaj obrusu na stole. Jak robił awantury o to, że ktoś czytał książkę albo oglądał film bez jego pozwolenia. Jak wraz z radą wspólnoty decydował o tym, gdzie członkowie mogą podjąć pracę, jaki kierunek studiów rozpocząć oraz rozbił i aranżował związki.

Denuncjator rozwoził się ze szczegółami nad tym, że na zaręczyny i ślub ksiądz pozwalał członkom wspólnoty dopiero wtedy, kiedy miał pewność, że przyszli małżonkowie są bardziej lojalni wobec niego niż wobec swojego partnera. Przy okazji wyjawiał również, że dzieci członków wspólnoty nie chodzą do szkoły, gdyż są objęte nauczaniem domowym. Ba, youtuber oskarżył również księży o wspieranie suspendowanego ks. Piotra Natanka i o utrzymywanie kontaktów intymnych z niektórymi członkami wspólnoty.

Na rzeczy było widać wiele, bo stosowny komunikat służb kardynała Nycza szybko poinformował, że

„Archidiecezja Warszawska rozpoczęła dochodzenie dotyczące działalności księży Łukasza Kadzińskiego i Jacka Gomulskiego. Opublikowane w ostatnim czasie w mediach relacje byłych członków wspólnot przez nich prowadzonych każą raz jeszcze skrupulatnie zbadać prawdziwość ich działania i zweryfikować stawiane zarzuty”. Dochodzenie szybko zakończono, a jego ustalenia pchnięto do watykańskiej Dykasterii Nauki Wiary. A skoro właśnie tam, to znaczy, że zarzuty co najmniej w znacznym stopniu się potwierdziły.

Kazimierz Nycz zastosował w międzyczasie kościelne środki zapobiegawcze. Ksiądz Kadziński nie może publicznie odprawiać mszy, spowiadać, katechizować, czy uczestniczyć w spotkaniach wspólnot. Do czasu wyjaśnienia sprawy ma też przebywać w miejscu wskazanym mu przez Nycza.

Sprawą zajmuje się też prokuratura. I to z obu stron, bo oczywiście Kadziński uważa, że został pomówiony.

Skoło padło już nazwisko Piotra Natanka, to wypada powiedzieć, że to właśnie facet, który pierwszy pokazał księżom, jak urwać się z watykańskiej smyczy i zacząć zarabiać na rachunek własny, a nie papieski, czy biskupi. Natanek od lat hodował sobie tródkę, która gdy w 2011 r. Dziwisz zabronił Natankowi być księdzem, stanęła murem przy swoim guru. Dzięki czemu wszystkie datki, tace i inne takie Natanek ma dla siebie. W nieustająco rozbudowywanej pustelni w Grzechyńni gromadzi rosnącą grupę swoich zwolenników, a dzięki świetnym relacjom z samorządowcami, staje się istotnym tamtejszym inwestorem.

Hierarchia oniemiała. Bo mimo iż Rada Stała Episkopatu Polski wielokrotnie przestrzegała katolików przed gromadzeniem się wokół suspendowanego księdza i popieraniem głoszonych przez niego idei, wyznawców Natanka przybywa.

Wydłużone stygmaty

10 grudnia 2021 r. został suspendowany pallotyn ks. Łukasz Prausa. Od tej pory nie może wykonywać „wszystkich aktów władzy święceń kapłańskich” ani nosić stroju duchownego, bo został też usunięty z zakonu. Nie przeszkadza to facetowi w odprawianiu mszy o uwolnienie i uzdrowienie. Wiele odbywało się w Łodzi, w sanktuarium Świętości Życia, ale i w halach sportowych. To zaś świadczyłoby o tym, że gość ma wsparcie kolegów po fachu i odpowiedniej liczby wyznawców.

R E K L A M A

JÓZEF MUSIOŁ
JAK OCALONO ZESPÓŁ „ŚLĄSK”

KINGA DĘBSKA
BYWAM JAK ZIMNY PRYSZNIC

DŁUGA LISTA OFIAR
USTAWY REPRESYJNEJ

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI
– AFERA NABIERA ROZPĘDU

tygodnikprzeгляд.pl

POMPOWANIE KULTU



Kukułcze jajo Hołowni

Zagłądanie do kasy Rydzyka.

Środowiska związane z ojcem Tadeuszem Rydzykiem dostały amoku po zapowiedzianej przez marszałka sejmu Szymona Hołownię rewizji państwowych wydatków na struktury wyznaniowe, którą ma wykonać Najwyższa Izba Kontroli. Rydzykowi „Nasz Dziennik” bezpardonowo określił działania Hołowni mianem komunistycznych metod. Stanowczo protestując, żeby w ten sposób obrażać komunistów!

Szymon upada po raz pierwszy

Hołownia nie ma szczęścia do dobrego PR-u. Po stosunkowo udanym początku sejmowej kariery, prędko okazało się, że przypomina zagubioną żabę pośrodku politycznego stawu, która udaje, że ma siersć, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba. Skutkiem tego, jeszcze zbierając oklaski za błyskotliwe marszałkowskie riposty, na drugą nóżkę dostał srogi oklep za czysto katolskie pokpienie kwestii aborcji. Niczym dziewica w domu uciech, postanowił zadowolić wszystkich. W ten sposób Szymon Katolik Hołownia, zmieniając grymas i pozę, zdecydował rzucić lewactwu cukierka na ośłodę. W piątek 15 marca marszałek Sejmu opublikował na platformie X nagranie opatrzone zgrabnym hasłem: „To jest taki trick, że do Rydzyka zapuka NIK”.

„Czy wiecie, że w ciągu ostatnich ośmiu lat rządów Prawa i Sprawiedliwości instytucje związane z ojcem Tadeuszem Rydzykiem otrzymały z państwa i różnych jego agend ponad 400 mln zł? To jest kwota, za którą można zbudować 40 nowych przedszkoli” – peroruje na filmie Hołownia. „W tej chwili właśnie podpisuję zlecenie do prezesa Najwyższej Izby Kontroli o dokonanie pierwszego chyba takiego przekrojowego i w pełni transparentnego przeglądu przepływów finansowych pomiędzy państwem i związkami wyznaniowymi, w szczególności Kościołem katolickim” – dodaje z dumą.

Przedstawiciele imperium ojca Tadeusza ruszyli w obronie swojego mentora z takim impetem, że wysypali zwirek z kuwety. Reakcja nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę, że prowadzonej przez Rydzyka Fundacji Lux Veritatis ledwo co udało się wygrać sześćioletnią batalię ze Stowarzyszeniem Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska o samo udostępnienie informacji o przedsięwzięciach, w których korzystała ze środków publicznych, a teraz ma nadstawić się z rozwartymi pośladkami dla inspektorów NIK. Zintensyfikowane działania obronne podjęto na wszystkich frontach toruńskiego konglomeratu i w tej pełnej wątków komediowych narracji padło tyle ziarna prawdy, że można by nią obsiać spory areał. Ale od początku.

Szymon upada po raz drugi

Na łamach „Naszego Dziennika” temat rozpracował publicysta Rafał Stefaniuk, a do pomocy wziął sobie nie byle kogo. Na temat wypowiedzieli się m.in. poseł Suwerennej Polski dr Marcin Romanowski, a także historyk prof. Grzegorz Kucharczyk. Przy okazji obydwa potraktowali instytucję Kościoła katolickiego jak szmatę rzuconą na kałużę, po której przeszli suchą nogą do obrony interesów Rydzyka, ale jak mawia stare porzekadło: nie żałuj róż, gdy płonie las! „Komunistyczne metody marszałka. Szymon Hołownia próbuje zbijać kapitał polityczny atakując dzieła powstałe przy Radiu Maryja” – grzmiał tytuł. 1:0 dla redaktora Stefaniuka za uwagę o zbijaniu kapitału, za porównanie do komunizmu – pała.

„Po trupach do celu. Trwa kampania wyborcza i to jest dzisiaj dla polityków najważniejsze” – orzekł prof. Grzegorz Kucharczyk. „Za 400 mln zł dla dzieł związanych z ojcem redemptorystami można zbudować 40 przedszkoli. To jest przecież typowa gra w skojarzenia. Już to przerabialiśmy: tysiąc szkół na tysiąclecie państwa polskiego. Po co rozwiązywać realne problemy, skoro można budować szkoły? To jest ta sama narracja propagandowa”.

Podobnego, acz jeszcze bardziej brutalnego gwałtu na logice dokonała w audycji Radia Maryja „Myśląc Ojczyzną” dr Jolanta Hajdasz, dyrektor Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich: „To podręcznikowy przy-

kład komunistycznej propagandy, która zawsze w ten sposób atakowała Kościół, który rzekomo podstępnie zdobywa publiczne pieniądze i je marnuje na nic niewarte pomysły. Przypominają mi się na przykład wielokrotne przewrotne ataki Jerzego Urbana poprzedzające wizyty Jana Pawła II w Polsce, gdy skrupulatnie wyliczał, ile według niego kosztuje zbudowanie ołtarza na jedną papieską mszę św., a przecież można by te środki przekazać np. poszkodowanym transformacją ustrojową”.

A żeby wam kłaki ojca dyrektora między zęby weszły!

Po pierwsze, w ramach akcji „Tysiąc szkół dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego” wybudowano więcej niż planowany tysiąc placówek. Szacuje się, że w stolicy powstało ponad 50 tysiącleci, a w całej Polsce – 1423 nowoczesne budynki edukacyjne według jednego z kilku schematów. Tak się składa, że sama do jednej z tych szkół chodziłam. Po drugie, Urban miał rację. Po trzecie, Hołownia, nawet jeśli posiada od NIK wiedzę, jak państwowe pieniądze zostały skosmunicowane przez ośrodki wyznaniowe, głównie z tą informacją robi. Cała ta heca to straszak.

Szymon upada po raz trzeci

W piśmie do prezesa NIK Hołownia wskazał przesłanki, którymi jakoby kierował się, występując do izby o kontrolę. Zmartwię kumpli ojca Tadeusza, ale próżno szukać wśród nich chęci wkłapania na działło ich mocodawcy. Marszałek sejmu podkreślił, że konstytucja i tym podobne gwarantują wolność sumienia, wyznania i tych rzeczy, jednocześnie zakazując dyskryminacji na tle religijnym. Potem było o „równouprawnieniu Kościołów i innych związków wyznaniowych” i „bezzstronności władz publicznych”, a także o „autonomii oraz wzajemnej niezależności” i „współdziałaniu dla dobra człowieka i dobra wspólnego”.

Ten przydługi i nudny do twardego rzygu wstęp miał wyłuszczyć, że niedopuszczalne jest „zobowiązanie kogokolwiek do finansowego wspierania obcych mu wspólnot religijnych, w szczególności do płacenia podatku kościelnego na rzecz wspólnoty religijnej, z którą podatnik się nie utożsamia”. Hołownia zaznaczył też to, co wszyscy wiemy: że w Polsce brakuje systemowych rozwiązań prawnych w zakresie finansowania kościołów i pozostałych związków wyznaniowych ze środków publicznych.

W związku z powyższym NIK ma zbadać wydatki publiczne na kościoły i inne związki wyznaniowe, ze szczególnym uwzględnieniem Kościoła katolickiego (największego beneficjenta), dokonywane od 12 listopada 2019 r. do 12 listopada 2023 r. przez podmioty ustawowo podlegające kontroli NIK. Izba na wniosek marszałka przetrzepi także fundusze wydatkowane w ramach subwencji oświatowej na wynagrodzenia i utrzymanie kapelanów zatrudnionych w strażach, służbach i inspekcjach oraz finansowanie nauki religii. Kontrola mają podlegać także wydatki z Funduszu Kościelnego, ulgi, zwolnienia i preferencje podatkowe oraz celne stosowane względem kościołów i innych związków wyznaniowych i inne formy wsparcia majątkowego lub finansowego z publicznych pieniędzy. I o co ta cała toruńska biegunka?

Szymon upada po raz czwarty

Trudno odmówić słuszności osądu posłowi Marcinowi Romanowskiemu z Suwerennej Polski, któ-

ry na łamach „Naszego Dziennika” mówi tak: „Hołownia znowu zaatakował Kościół, ponieważ pilnie potrzebuje rozgłosu wśród lewicowo-liberalnego elektoratu. Od tygodni boryka się z poważnym kryzysem wizerunkowym. Jego partię toczą afery o charakterze korupcyjnym, a on sam dla mediów głównego nurtu stał się niewystarczająco radykalny w temacie zabijania dzieci nienarodzonych. Nic tak nie zwraca uwagi »młodych, wykształconych z wielkich ośrodków« jak stara, sprawdzona metoda oczerniania katolików, zwłaszcza o. dr. Tadeusza Rydzyka. To czysty populizm, prymitywny, ale nader skuteczny w polskich realiach”.

Jednak w jednym Romanowski i Hołownia prze-

Środowiska lewicowo-liberalne mają w dupie farbowaną antykościelną hucpę marszałka. 400 baniek dla Rydzyka przez osiem lat to drobne przy tym, ile się wysypało na Kościół z państwowej kieszeni.

Raport NIK, o którym wszyscy zapomną, nim zdąży powstać, może co najwyżej posłużyć państwu do mozołnego lepienia z ustawowego gówna rachitycznego pomysłu zastąpienia Funduszu Kościelnego podatkami od wiernych. A i do tego daleka i wcale niepewna droga.

Kościółowi i wszystkim produktom jemu podobnym w Polsce długo włos z głowy nie spadnie. Dlatego apeluję: odpięrdolcie się od lewaków i komunistów. My, w przeciwieństwie do Hołowni, nienawidzimy Kościoła naprawdę.

IDALIA DUBICKA

Aby wziąć udział w mszach odprawianych przez eks-ojca Łukasza, trzeba się wcześniej zapisać. Ale udział w nich się kalkuluje. W internecie można przeczytać, że „Prosiłam o pomoc w znalezieniu pracy. W przeciągu tygodnia odezwała się do mnie firma, do której swoje CV wysyłam od lat. Jestem przeogromnie wdzięczna, gdyż jestem przekonana, że bez wsparcia Ojca Łukasza i jego modlitwy to by się nie udało”.

To oczywiście dlatego, że eks-ksiądz ma stygmaty, a co piątek ma mu się ukazywać Pan Jezus i daje wskazówki. I jak kobiecie z krótszą nogą powiedział „W imię Jezusa będą wydłużały się kończyny dolne”, to chora pani „tego pięknego dotyku i uzdrowienia doznała”. Bo otóż kończyny są teraz równej długości. Dzięki takim świadectwom i internetowi coraz większa kasa płynie do pana Prausa, a nie do kurii. Zaś jego popularność tylko rośnie.

Masoneria kościelna

O pustelni Daniela Galusa i Wspólnoty Miłość i Miłosierdzie Jezusa w Czatachowej Polska usłyszała w październiku 2020 r. kiedy do sieci trafiło nagranie, na którym duchowny wzywał wiernych do zdejmowania maseczek w kościele. Przekonywał, że „można się w nich zatruć”. Zachęcał też, by wierni przed zakażeniami chronili się używaniem wody święconej. Jednak Kościół Galusa znał wcześniej. W 2017 r. metropolita częstochowski zakazał księżom i osobom świeckim udziału w jego spotkaniach modlitewnych. W tym samym roku podobny zakaz wystosowała kuria plocka, a jeszcze w 2014 r. – ordynariusz opolski.

„Gość Niedzielny” pisał nawet, że to, co otacza Galusa „To swoisty kult jednostki, który budzi niepokój, bo jest przecież jednym ze znamion sekty”.

W końcu częstochowska kuria poinformowała o nałożeniu kary suspensy na Galusa. „Eucharystia i inne sakramenty sprawowane przez ks. Galusa są niegodziwe, a sakrament pokuty nieważny”. Zaś wierni uczestniczący w liturgii i korzystający z sakramentów „zaciągają ciężką winę moralną”. Wspólnota, której przewodzi, ma zakaz używania określenia „katolicka”.

Pustelnik skomentował te sankcje w trakcie swoich kazań. Stwierdził, że jest szykanowany i atakowany. „Czy nie kryje się za tym działanie szatana i złych duchów?” – mówił z ambony o „wyroku masonerii kościelnej”. Na spotkaniach modlitewne, regularnie do Czatachowej zjeżdżają tłumy nie tylko z okolicznych miejscowości.

Kiedyś Natanka, Galusa, czy Prausa wrzucono by na kupkę drewna i przytknięto pochodnię. Dziś Kościół może im nagwizdać. Niczym w korporacji,

faceci odeszli z firmy, zabierając ze sobą jej klientów. Nie musieli nawet wymyślać ani nowego wyznania, ani żadnej ujmującej doktryny.

Wykorzystali to, czego ich uczyli w seminarium – mieszać w głowach.

Wyniki badań opinii wciąż wskazują, że dla ponad 75 proc. Polaków sekty stanowią poważne zagrożenie. Według 65 proc. badanych działalność sekt powinna być prawnie zabroniona, 27 proc. respondentów dopuszcza możliwość legalnej działalności sekt, ale pod warunkiem dokładnej ich kontroli ze strony władz państwowych. Ale przecież dla państwa, dominikanów i opinii publicznej nic, co katolickie, sektą być nie może. Wszak sekta – według dominikanów – „doprowadzając do ruiny psychicznej i materialnej swoich członków, czyni z nich ludzi niezdolnych do życia w społeczeństwie”.

ADRIAN SIECZKOWSKI

Po rządach PiS Kościołowi skończyły się aktywistki.

Gdy kobiety się organizują i wspólnie występują w obronie swoich praw, to przyjęło się je nazywać feministkami. Ale gdy organizacja kobieca postuluje „Przeciwdziałanie stereotypom płci w rodzinach, jak i w miejscu pracy”, to jest jeszcze feministyczna, czy może została naznaczona piętnem genderyzmu?

Język giętki

A skoro taka formacja zabiega o „Podnoszenie roli i znaczenia kobiet w funkcjach społeczno-zawodowych i rodzinnych, o działania na rzecz zachowania i podnoszenia godności osobowej kobiety i poczucia swojej wartości oraz o przeciwdziałanie wszelkim aktom przemocy wobec kobiet (w szkole, rodzinie, w zakładzie pracy, w środkach masowego przekazu, w reklamie)”, to przecież powinna dostać błogosławieństwo od Marty Lempart.

Czy jeśli grupa posiadaczek pochw i piersi wnioskuje o „Uświadamianie konieczności czynnego udziału mężczyzn w pracach domowych i w wychowywaniu dzieci (promowanie właściwie pojętego partnerstwa), o uświadamianie pracodawcom, że kobieta jest równie



rys. TOMASZ WIATE

niepłodności, a nie forsowanej ideologicznej ustawy, której głównym celem jest finansowanie nieetycznej, mało skutecznej, mającej niebezpieczne konsekwencje społeczne techniki”.

Po zwycięstwie partii Kaczyńskiego słowo katolicek stało się ciałem, więc znów zrobiło się o PZKK cicho. I było aż do wyborczego 2023 r. Nim kampania ruszyła, katolicki wydały z siebie oświadczenie mówiące, że „oskarżanie Jana Pawła II o cynizm w sprawach Kościoła jest nie tylko krzywdzące i pozbawione prawdy. Sprzeciwiamy się formułowaniu oskarżeń i rzucaniu kalumnii na podstawie informacji i donosów pochodzących jedynie od tajnych współpracowników służb PRL-u, których wiarygodność również dla służb komunistycznych była traktowana jako wysoce wątpliwa, czego dowodem jest to, że informacje te nie były nigdy przez te służby wykorzystywane”. Skąd to wiedziały, wiedzą tylko prowadzący panie duszpasterze.

Od tej pory o PZKK byłoby zupełnie cicho, gdyby nie to, że w sieci od miesięcy wisi oferta sprzedaży domeny pzk.org.pl. Każdy może ją kupić już za 244,77 zł.

Skoro według wszelkich statystyk Polska jest krajem niemal 38-miliono-

za podpisanie konwencji Rady Europy w sprawie zapobiegania i zwalczania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej. A to dlatego, że wedle kobiet katolickich konwencja „zasadniczo podważa znaczenie małżeństwa i rodziny”.

Gdy minister zdrowia Bartosz Arłukowicz wprowadził pigułkę „dzień po” bez recepty, FKP wysłało zdecydowany sprzeciw. „Środek ten niczego nie leczy. Jest stosowany przeciwko poczętemu dziecku i o ile zostało ono poczęte, blokuje mu możliwość dalszego rozwoju i powoduje bardzo wczesne poronienie” – pisały kobiece działaczki. Forum Kobiety Polki, do którego zgłosiła się na publiczne wysłuchanie w sejmie w sprawie świadomego rodzicielstwa w Polsce.

Kiedy jednak szefowa rządowi zaczęła Beata Szydło, w 2016 r. na jej biurko spłynął list, w którym stało: „My, kobiety i matki skupione w Forum Kobiety Polki, do którego należy 56 organizacji kobiecych, pragniemy wyrazić wielkie wyrazy uznania dla Rządu i Parlamentu RP za konsekwentne podejmowanie działań mających na celu pomoc polskim rodzinom. Od wielu miesięcy działa program 500+, który jest realnym wsparciem, zapewniającym wyrównanie szans i prawidłowy rozwój polskim dzieciom”. Poza tym pismo zawierało peany ku czci partii i rządu oraz podziękowania za wszelkie inicjatywy na rzecz kobiet.

W 2017 r. FKP zasłynęły gorącą prośbą do organizacji feministycznych: Nie niszczyć naszego kobiecego święta – 8 marca! Argumentacja porażała: „Jesteśmy mocno poruszone i zbulwersowane stylem akcji feministycznych pt. Międzynarodowy Strajk Kobiet. Zenujące wulgaryzmy, ukazywanie kobiety jako agresywnej feministki oraz przedmiot użycia seksualnego niszczy pozytywny obraz kobiet w społeczeństwie. Sprawy związane z własną seksualnością nie powinny być manifestowane na ulicach”.

Forum Kobiety Polki vel Forum Kobiety Katolickich chwaliło się, że jest w nim zrzeszonych 57 organizacji. Zdawać by się mogło, że powinny to być stowarzyszenia niewieście. A tymczasem w zestawieniu występowała m.in. Komisja Krajowa NSZZ Solidarność – Gdańsk, Społeczny Komitet Zwalczenia Pornografii, Katolickie Radio Poznań, czy Duszpasterstwo Ludzi Pracy Archidiecezji Warszawskiej. Kobięce nazwy miały tylko PZKK, Katolickie Stowarzyszenie Kobiet pw. św. Zyty z Wadowic i Stowarzyszenie Matek Katolickich. Ale przecież kwestia reprezentatywności i nazewnictwa w kościele katolickim jest sprawą wielce umowną.

Widać to po Stowarzyszeniu Matek Katolickich, do którego należeć mogą „wszystkie kobiety w wieku od 16 lat, niezależnie od tego, czy są matkami, bowiem kobiety z natury swej spełniają muszą funkcję macierzyńską względem każdego człowieka”.

Jeśli ktoś zastanawiał się, dlaczego w opisie działań FKP pojawiał się czas przeszły, to śpieszcie wyjaśnić, że lata władzy PiS organizacji nie posłużyły. Co prawda jej działaczki zrobiły karierę tu i tam, a niektóre nawet załapały się na dobre płatne posadki, ale w związku z tym straciły serce do reprezentowania katolicek. A ponieważ w FKP – niczym u Agathy Christie – nie było już nikogo, to Forum Kobiety Polki „Kobieta W Świecie Współczesnym” 15 marca 2022 r. zostało wykreślone z rejestru stowarzyszeń.

Co jednak wcale nie znaczy, że PiS z Kościołem zaniechały walki o rząd niewieścich dusz. Ale zamiast korzystać z katolickich feministek, dziś wolą to robić przy pomocy Szydło, Witek i Kempy oraz oczywiście Kai Godek.

TOMASZ BOROWIECKI

Katofeminizm na wymarciu

dobrym pracownikiem jak mężczyzna i przeciwdziałanie stereotypom dotyczącym np. przekonania, iż kobieta mniej niż mężczyzna nadaje się na kierownicze stanowisko”, to nie należał jej się pochwały od ministry Katarzyny Kotuli?

Uwagę i wsparcie Agnieszki Dziekmianowicz-Bąk powinna przykuć z kolei walka o „ułatwianie kobietom podejmowania pracy i powrotu na rynek pracy po urlopach macierzyńskich i wychowawczych poprzez możliwość wyboru elastycznego czasu pracy. Przyjmowanie do pracy młodych kobiet bez konieczności składania przez nich deklaracji, że nie założą rodziny lub nie planują posiadania dziecka (w bardzo wielu instytucjach kobieta przy przyjmowaniu do pracy musi zadeklarować, że nie będzie miała dzieci i to jest warunkiem jej przyjęcia). Możliwość zatrudnienia na niepełny wymiar czasu. Możliwość pracy w domu. Pomoc w uruchamianiu własnej działalności gospodarczej. Promowanie rodzinnych przedsiębiorstw. Tworzenie żłobków i przedszkoli przy zakładach pracy. Wyrównywanie zarobków kobiet pracujących na równorzędnych stanowiskach z mężczyznami. Organizowanie szkoleń dla powracających kobiet do pracy po urlopach macierzyńskich lub wychowawczych”.

Gdyby jednak wymienione tu bojowniczkę o prawa kobiet chciały przykleić się do głoszącej te hasła organizacji, to jednak nie. Po pierwsze organizacja wypisała te postulaty tylko raz. Po drugie z feminizmem – a już nie daj Bóg genderyzmem – nie chciałaby się zetknąć nawet w sklepie. Po trzecie wreszcie, organizacja nosi nazwę Polskiego Związku Kobiet Katolickich.

A po czwarte, feministki już raz taki błąd popełniły. 12 lat temu wysmarowały do PZKK zaproszenie na Maniłę rozpoczynające się słowami: „Droży Państwo i Kochane Panie z PZKK”. Odpowiedź nadeszła szybko. W liście otwartym szefowa „Kochanych Pań z PZKK” przejechała się wówczas po feministkach z gracją walca drogowego i skończyła tak: „Chciałabym zaproponować wszystkim, komu naprawdę zależy wyłącznie na prawdziwym dobru kobiet, a przede wszystkim Polskiemu Związkowi Kobiet Katolickich, podjęcie błagalnej i przebłagalnej modlitwy w in-

tencji kobiet na całym świecie i wszystkich trudnych spraw kobiet polskich, zwłaszcza w tym czasie, kiedy będą się odbywały feministyczne manify”.

Zwykle, choć katolicki

Ale 10 lat temu PZKK to nie było co było. Miało naówczas mianowicie 24 lata i

powstało po to, by kilka pań mogło się wybrać na wycieczkę do Berlina, gdzie odbywał się międzynarodowy sabat katolicek. A żeby już było całkiem śmiesznie, to przez pierwsze cztery lata PZKK wcale nie był związkiem kobiet katolickich, tylko nosił nazwę Polskiego Związku Żyjących Kobiet.

Jak wszystko w katolicyzmie, tak i PZKK musiał i musi mieć jakiś święty patronat. Ale jeśli komuś wydaje się, że nad organizacją czuwa królowa, hetmanka i patronka rydzykowego radia, to jest w błędzie. Związek nie cieszy się też niebiańską opieką Marii Magdaleny, świętej królowej Jadwigi, ani setek innych uświęconych przez Watykan kobiet. Świętym patronem PZKK jest bowiem Józef, ojczym Jezusa. Jemu to bowiem oddały się panie katolickie takimi oto słowami: „Święty Józefie, który wypełniając wiernie swoje obowiązki i powołanie życiowe, pracą rąk zarabiał na utrzymanie Świętej Rodziny, weź pod swoją opiekę nas, którzy tu jesteśmy przed Tobą i wszystkie nasze trudne sprawy”.

Swoją drogą, czyż rogacz utrzymujący żonę i nie swoje dziecko, a w dodatku

nienoszący spodni, to jednak nie obrazkowy przykład genderyzmu?

Chyba jednak nie, bo przecież w tych zaprzeczonych czasach PZKK wyraził wielką wdzięczność biskupom za „bardzo ważny, rzeczowy i potrzebny list pasterski” o gender. „Jako kobiety świadome owych zagrożeń dziękujemy Kościołowi za głos w tej ważnej sprawie, a Pasterzom Kościoła za pouczenie wiernych o niebezpieczeństwie, jakie dla człowieka i rodziny niesie za sobą ideologia gender”.

Niosła zaś rzeczy katolickom straszne. Choćby „deprawowanie naszych dzieci poprzez wprowadzanie lekcji seksualizacji w przedszkolu, a także przyjmowanie modelu związków partnerskich, także tej samej płci oraz traktowanie związku małżeńskiego kobiety i mężczyzny jako przeżytku”.

Dzięki listowi PZKK zabłysnął, co prawda przez chwilę, ale jednak. Dzięki mediom świat dowiedział się o istnieniu takiego tworu. Nie udało się to nigdy wcześniej. Ani wtedy, gdy zjazd PZKK przyjmował uchwałę wyrażającą wzburzenie przeladowaniami chrześcijan w krajach, gdzie się ich prześladowało. Ani uchwałą wyrażającą „zaniepokojenie pracami Sejmu RP zmierzającymi do podniesienia związków homoseksualnych do godności małżeństwa”.

Ani nawet wtedy, gdy panie jednogłośnie przegłosowały uchwałę domagającą się przywrócenia emisji programów Pospieszalskiego, Sakiewicza i Ziemiakowicza w jeszcze niepisowskiej przeciwie TVP.

Co jednak nie powinno dziwić, bo „celem Związku jest integracja kobiet katolickich, poszerzanie świadomości w duchu nauki społecznej Kościoła, pogłębianie wiary i więzi z Kościołem, wyrażanie potrzeb i opinii wobec władz państwowych i społecznych oraz wpływanie na decyzje tych władz dotyczące kobiet i rodziny”, ale tak naprawdę liczy się tylko jeden statutowy zapis: „wspieranie inicjatyw Kościoła”. Bez dodania nawet, o jaki Kościół chodzi.

W sierpniu 2015 r. gdy Dudę już wybrano na prezydenta, a PiS szło do zwycięstwa, członkini Polskiego Związku Kobiet Katolickich wezwały senat do odrzucenia projektu ustawy o in vitro. Bo – jak twierdziły – jest to bardzo upokarzająca procedura. Panie oczekiwały „systemowej pomocy w leczeniu

wym o 90 proc. zawartości katolików, to katolicek winno być jakieś 17 mln. Ile z nich przynależy do PZKK jeśli wiadomo, że związek ma 10 oddziałów: w Warszawie, Tczewie, Jaworznie, Skarżysku-Kamiennym, Kielcach, Kaliszu, Rajgrodzie, Siedlcach, Lutomiersku i Łodzi? Odpowiedź nie będzie prosta, bo ostatnie enuncjacje na ten temat są sprzed dekady, gdy oddziałów było siedem, a członkiń 130. Teraz, po ośmiu latach katolicyzowania narodu przez PiS, jest to tajemnica. Nieoficjalnie, według jednych działaczek jest ich 200, zaś według innych – niecałe 100.

Łączcie się

Ale PZKK nie jest przecież sam. Do niedawna należał nawet do czegoś znacznie większego o nazwie Stowarzyszenie Forum Kobiet Katolickich – „Kobieta w Świecie Współczesnym”. Co ciekawe, nazwa ta pojawia się w oficjalnych pismach naprzemiennie z nazwą Forum Kobiet Polki.

Misją forum były: „Jednoczenie kobiet dla osiągnięcia większej skuteczności działania w obronie praw do życia zgodnego z katolickim systemem wartości. Tworzenie opiniotwórczych środowisk kobiet katolickich. Kształcenie katolickich liderów dla działalności publicznej. Inspirowanie działań na rzecz rodziny i kobiet we wspólnotach parafialnych i samorządowych”. Zamierzenia te były realizowane poprzez „upowszechnianie i ochronę wolności i praw człowieka, swobód obywatelskich oraz działania wspomagające rozwój demokracji”, a także „naukę, szkolnictwo wyższe, edukację, oświatę i wychowanie, kulturę, sztukę, ochronę dóbr kultury i dziedzictwa narodowego”.

Tak naprawdę działalność forum ograniczała się publikowania listów otwartych lub oświadczeń. Choćby takich jak stanowisko w sprawie przesłania przez Kongres Kobiet Polki listu do papieża Franciszka, w którym forumowiczki sprowadzają kongres do parteru. „Kongres Kobiet Polki jest stowarzyszeniem, a nie reprezentacją ogółu polskich kobiet i powszechnie jest znane jego skrajnie feministyczne stanowisko w wielu kwestiach”.

Adresatem kwitów forum był też Tusk za pierwszego premierowania. Panie katolickie zrypały go na funty

Pięść gladiatora

W ringu możesz kogoś zabić i jeszcze ci za to zapłacą.

Pokutuje przekonanie, chyba zaczerpnięte z filmów fabularnych, że rzymscy gladiatorzy walczyli na śmierć i życie. To jedna z legend. Śmiercią, i to raczej przypadkową, kończyły się tylko niektóre pojedynki, mniej niż 10 proc. z nich. Współczesne walki też mogą mieć taki tragiczny finał. Swego czasu poważnie zastanawiano się nad zakazaniem boks, tego pocziwego starego boks, toczono w rękawicach. W 1912 r. wykluczono pojedynki na pięści z igrzysk olimpijskich w Sztokholmie. Ówczesne szwedzkie prawo uznawało ten rodzaj sportu za nielegalny.

Olimpijski zakaz obowiązywał tylko ten jeden, jedyny raz. Wykluczenie boks z igrzysk wywołało liczne i jak się okazało skuteczne protesty. Argumentowano, że jest to jeden z najstarszych i najbardziej naturalnych sportów. Co ciekawe, Szwedzi od czasu igrzysk w Sztokholmie zdobyli w boksie jedenaście medali, choć faktycznie ani jednego złotego.

Do krwi ostatniej

Boks to jedyny sport w świecie, w którym możesz kogoś zabić i jeszcze ci za to zapłacą. To słynne zdanie wypowiedział były mistrz świata kategorii ciężkiej federacji WBC Deontay Wilder. Rzeczywiście, w ringu giną ludzie. Nie podejmę się nawet napisać ilu, bo wszelkie statystyki nie obejmują mało znanych walk na pomniejszych galach, których nie pokazują telewizje. Można nawet zarzykować stwierdzenie, że tam jest najbardziej niebezpiecznie. Opieka lekarska jest żadna, a sędziowie nie przerywają okładania się pięściami nawet wówczas, gdy jeden z bokserów osiągnie znaczącą przewagę. Publika jest żadna krwi. W dodatku organizatorzy przy doborze rywali nie kierują się żadnymi rankingami, więc siły i umiejętności w ringu bywają bardzo nierówne.

Najgłośniejsze było się o śmierci w ringu koreańskiego pięściarza wagi ciężkiej Kima Duk-koo w pojedynku z Amerykaninem Rayem „Boom Boom” Mancinim. Walkę z Las Vegas w 1982 r. transmitowała ogólnodostępna telewizja CBS. Była to więc bezpośrednia relacja z egzekucji. Cztery miesiące po śmierci Kima samobójstwo popełniła zmagająca się z traumą jego matka. Samobójstwo popełnił także sędzia pojedynku. Tego działacze i promotorzy bokserzy nie mogli zamieść pod dywan. W Szwecji boks ponownie trafił na zakazana listę.

Po walce Kima Duk-koo z Rayem Mancinim wprowadzono też zmiany w przepisach. Mistrzowskie walki nie mogą już trwać jak dawniej 15 rund, lecz 12, uznano bowiem, że najwięcej urazów zdarza się właśnie podczas trzech ostatnich starć. Zawodnicy muszą przejść szczegółowe badania lekarskie przed walką i po niej. O beztróscie, z jaką podchodzono wcześniej do zdrowia pięściarzy świadczy fakt, że badano im tylko puls i ciśnienie krwi.

Kosztowny bokser

Czy promotorom naprawdę tak bardzo zależy na życiu i zdrowiu bokserów? Nasuwają się wątpliwości. Wyszkolenie zawodnika, wypromowanie go w mediach, honoraria, udziały w kampaniach reklamowych, to dla nich spora inwestycja. Dobry zawodowy bokser jest kosztowny. Żaden promotor nie chce go przedwcześnie stracić.

Ten fakt łączy współczesnych gladiatorów z ich starożytnymi rzymskimi poprzednikami. Występujący w amfiteatrach gladiatorzy uczyli się fachu w specjalnych szkołach ludus gladiatorum. Właściciel interesu, zwany lanistą, decydował o wszystkim. Dbał nie tylko o szkolenie, zapewniał także opiekę medyczną i odpowiednie żywienie. O posłuch było mu tym łatwiej, że zdecydowana większość gladiatorów była niewolnikami, głównie jeńcami wojennymi, choć nie tylko, nie brakowało wolno urodzonych młodzieńców szukających w amfiteatrach sławy, przygody i popularności.

Co jedli gladiatorzy? Współczesna medycyna sądowa potrafi na podstawie badań kości dość dokładnie określić ich dietę. A więc przede wszystkim wcinali rośliny strączkowe i zboża, mięsa do-

stawiali niewiele, może wcale. Po treningu uzupełniali braki minerałów. Służył do tego napój sporządzany z popiołu. To także łączy współczesnych gladiatorów z ich starożytnymi odpowiednikami, tyle że dziś nie pija się drinków sporządzonych z popiołu, ale napoje energetyczne i specjalne żele opracowane w laboratoriach.

W moich tekstach często przywołuję wspomnienia z czasów, gdy jako młody żurnalista towarzyszyłem kolarskim wyścigom. Co tu dużo mówić, w naszym gronie, a także wśród sztabów ekip alkoholi nie odmawialiśmy. Pamiętam, jak pojawiły się pierwsze napoje izotoniczne dla sportowców, dla nas, szarych obywateli, jeszcze niedostępne. W małym gronie postanowiliśmy je wypróbować w postaci koktajli z wódką. Rzekomo miało to zapobiegać uciążliwemu porannemu kacowi. Nie zapobiegło, więc nie macie po co nas naśladować. Robotę odwaliliśmy za was wiele lat temu.

Wolna amerykanka

Było o historii starożytnej, nieco nowszej, czas więc wrócić do współczesności. Napisałem o starym, pocziwym boksie w rękawicach, który już na początku XX w. budził kontrowersje. Od tego czasu zmieniło się wiele.

Tradycyjny boks przypomina pieszczoły w kwadratowym ringu, w porównaniu z tym, co wyprawia się w oktagonie MMA, czyli mieszanych sztuk walki. Mieszane sztuki walki nazy-

wały by ciekawiej – do oktagonu wchodzić także kobiety i walczyć według tych samych reguł i na takim samym dystansie jak mężczyźni. W MMA panuje takie równouprawnienie, o jakim nie śni się najbardziej radykalnym posłankom lewicy. Polka Joanna Jędrzejczyk w latach 2015–2017 była mistrzynią federacji UFC w kategorii słomkowej. Przyjęło się uważać, że mistrzostwo w tej najsilniejszej i najbogatszej federacji jest równoznaczne z mistrzostwem świata.

Po damsku

Czego dziewczyny szukają w oktagonie? Zapewne tego, czego ich koledzy. Chcą sprawdzać się w walce, pokazać, że są niezwykłe, a także – na pewno – zdobyć pieniądze i popularność.

Jako licealista zamierzałem, ku przerażeniu moich rodziców, którzy namawiali mnie do gry na skrzypcach, zapisać się do sekcji bokserkiej, więc rozumiem potrzebę młodego człowieka do spraw-



Niezwykła popularność, jaką ta dyscyplina zyskała, sprawiła, że coraz częściej do oktagonu zamiast sportowców wchodzi celebryci, youtuberzy, aktorzy, ludzie ze świata mediów, influencerzy. Sporo szumu robi wokół siebie żona polityka PiS Łukasza Schreibera.

Pani Marianna próbowała już sił w polityce, w armii i wreszcie w oktagonie. Z jakimi rezultatami – nie wiem, bo nie śledzę skrupulatnie mediów społecznościowych.

Na gołe pięści

Popularność MMA nie bierze się znikąd. Mówi się nawet, że jest to obecnie najszybciej rozwijająca się dyscyplina sportu. Właściciele UFC i innych pomniejszych organizacji znają się na swojej robocie. Poszczególne gale są numerowane i nie odbywają się w jednym miejscu. Wędrują po całym świecie, ze szczególnym uwzględnieniem miejsc atrakcyjnych turystycznie. Podobnie wędrowali po całym ówczesnie znanym świecie laniści ze swoimi gladiatorami.

Ktoś zapytał, czy w MMA dochodzi do śmiertelnych przypadków. Owszem, to się zdarza, ale rzadko i na pomniejszych galach. W klatce UFC – o ile wiem – nikt dotychczas nie zginął, choć oczywiście zdarzały się ciężkie kontuzje. Żeby daleko nie szukać: w 2020 r. podczas gali UFC Karolina Kowalkiewicz w walce o mało nie straciła wzroku. Pękła dolna ściana jej oczodołu, mięsień i nerw oka zostały uszkodzone, a – jak to określono – samo oko wpadło do zatoki szczękowej. Atrakcyjna zawodniczka wylizała się z tego i na krótko wróciła jeszcze do walk. Teraz na sportowej emeryturze zajmuje się amatorsko wspinaczką górską, co także nie należy do bezpiecznych zajęć.

Świat wciąż pędzi naprzód. Za moich młodych lat telefon na kablu był dobrem luksusowym, walizki nie miały kółek, taszczyło się je w rękę, a samochody z klimatyzacją jeździły raczej wyłącznie po Ameryce. Obrotni ludzie, widząc zainteresowanie jakie wzbudza MMA, musieli poszukać swojej szansy zarobienia dużych pieniędzy.

Od pewnego czasu w polskiej telewizji oglądać można walki na gołe pięści. Nie dziwi, że jest to kolejny amerykański wynalazek – w tym kraju potrafią zarabiać na wszystkim. Włodarze największej i zapewne jedynej znanej federacji BKFC odwołują się do tradycji. Istotnie w XIX w. w ten właśnie sposób toczono walki w ringu. Były to naprawdę straszne imprezy. Nie wyznaczano liczby rund. Wszystko trwało tak długo, dopóki jeden z zawodników nie mógł się już ruszać. Nic dziwnego, że tę barbarzyńską formę na długo zarzucono.

W 2018 r. były amerykański bokser David Feldman powołał do życia organizację BKFC promującą walki na gołe pięści w specjalnym okrągłym ringu. Zasady są brutalne. Sędzia nie przerywa walki po trzech nokdaunach, jak to ma miejsce w tradycyjnym boksie. Walczy się dopóty, dopóki po liczeniu zawodnik jest w stanie stanąć na nogi. Po pojedynku twarze obu rywali przypominają krwawą miążgę, bo ciosy zadane gołą pięścią powodują głębokie rozcięcia, a nokauty są naprawdę ciężkie. Rzadko sędziowie liczą punkty po pięciu dwuminutowych rundach, bo niewielu twardzieli potrafi do końca ustać na nogach.

Podobnie jak w UFC gale BKFC organizowane są w różnych krajach – zauważyłem, że bardzo chętnie goszczą je w Bułgarii. Kilku Polaków bije się na gołe pięści, niektórzy występują jednak pod brytyjską flagą i mieszkają w tym kraju.

Takich walk na razie nie organizuje się nad Wisłą. Wszystko przed nami.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji, Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 10.04.2024 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Wygraliśmy – ucieszył się premier Tusk, ale tak jakoś smutno.
– No – równie ponuro uradował się minister Kierwiński. – Mamy więcej niż mieliśmy.
– Jeszcze bardziej wygramy w wyborach europejskich – markotnie rozpromienił się minister Budka. – A Rafał wygra w wyborach prezydenckich.
– Trzaskowski przegra wybory tylko, jeśli pijany przejdzie na pasach zakonnice w ciąży – powiedział ktoś, ale nie wiadomo kto.

• • •

– Wygraliśmy! – z entuzjazmem odezwał się marszałek Hołownia.
– Wygraliśmy i nadal będziemy wygrywać – zgodził się wicepremier Kosiniak-Kamysz.
– Trzecia Droga zawsze na trzecim miejscu.
– Byle nie w wyborach prezydenckich... – westchnął Hołownia.

• • •

– W zasadzie wygraliśmy – orzekł wicemarszałek Bosak.
– Jest lepiej niż było, a będzie lepiej niż jest – dodał poseł Wipler.
Poseł Braun nic nie powiedział, ponieważ przywykł do tego, że przez niego przemawiała gaśnica.

• • •

– Znudziło mi się już to wygrywanie – rzekł poseł Błaszczak.
– W październiku wygraliśmy wybory parlamentarne, teraz samorządowe, w czerwcu wygramy wybory europejskie, a za rok prezydenckie – wesoło powiedział Jacek Kurski.
– A ten skąd się tu wziął? – zapytał poseł Morawiecki.
– Zawsze tutaj był – odparł prezes Kaczyński. – Wiadomość o jego śmierci była cokolwiek przedwczesna.

• • •

– Przegraliśmy – stwierdził przewodniczący Czarzasty, a minę miał nietęgą.
– Przegraliśmy – zgodził się przewodniczący Biedroń i uśmiechnął się, miał bowiem taki sposób bycia, że uśmiechał się nawet wówczas, gdy powodów do zadowolenia nie było żadnych.
– Przegraliście – powiedział przewodniczący Zandberg.

• • •

– Nie ma jakiejś nowej ustawy do zawetowania? – zapytał prezydent Duda.
– Jest mnóstwo takich ustaw – odpowiedział minister Mastalerek. – O powszechnym szczęściu społecznym, o tym, że Polki powinny być piękne, zdrowe i bogate, a także o tym, że Tusk to bohater narodowy.
Duda nie wiedział, czy Mastalerek żartuje czy nie. Duda w ogóle niewiele wiedział, co nie przeszkadzało mu być sobą zachwyconym.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

w Jastrzębiej Górze cieszy się morzem i wiosną. W wyborczą niedzielę też się cieszyła. **JOANNA SENYSZYN** tego nie pochwała.



Senyszyn: – No i wykrakałam. Wolk-Łaniewska: – Niby co?

– Mówiłam ci w zeszłym tygodniu, żebyś nie okazała się wolnością wiodącą lud od urn. I proszę bardzo: dwie trzecie październikowej frekwencji!
– I to niby moja wina?

– Zachęciłaś do wyboru przyjemnego zamiast pożytecznego.
– Może jednak wina lewicy?

– To jakaś startowała?
– I chujową kampanię zrobiła.

– Tu się muszę zgodzić. W dodatku tematy lansowali nie samorządowe, a sejmowe, bo nie rozumiem, że województwa w Polsce to nie stany w Ameryce i nie da się w mazowieckim dopuścić aborcji do 24. tygodnia, w łódzkim do 12., a w podkarpackim w ogóle.

– Choć może byłoby to jakieś rozwiązanie. Tam gdzie wygrywa PiS i Konfederacja – dożywocie za aborcję. To mogłoby przechylić szalę. Choć pewnie nie na korzyść lewicy.

– Która – dodam – głupio wzywała wyborców do pokazania Trzeciej Drodroje czerwonej kartki. Taka nielojalność Polakom się nie podoba, więc spuścili Czarzastych. W 16 sejmikach mają łącznie ośmiu radnych, a że w niektórych po dwóch, to w większości żadnego. Z partii politycznych nikt nie ma gorszego wyniku.

– Ale za to chcący zachować anonimowość „rządowy polityk Lewicy” powiedział „Gazecie Wyborczej”, że „nie zmienia się kapitana w czasie meczu, a naszym jest Włodzimierz Czarzasty”. Przypomniały mi się „Fakty i akty”. Pamiętasz taki film Barry’ego Levinsona z 1997 r.?

– Słabo. Przypomnij.

– Historia jest o wyborach, w których urzędujący prezydent ubiega się o reelekcję z reklamą wyborczą: „Nie zmieniaj koni w środku strumienia. Ponownie wybierz prezydenta”. A potem media wykrywają,

że Lider Wolnego Świata zerznął harcerkę w Gabinetie Owalmym, więc Biały Dom zatrudnia spindoktora z zadaniem odwrócenia uwagi wyborców od tego niezręcznego faktu. A spindoktor wywołuje wojnę z Albanią. I prezydent oczywiście wygrywa, na bazie „efektu flagi”.

– Zaraz, zaraz: myślisz, że Czarzasty wywoła jakąś wojnę, żeby przykryć blamaż wyborczy?

– Na szczęście nie ma takich możliwości. Ale, skoro już jesteśmy przy Ameryce: odkryłam coś genialnego!

– Co mianowicie?
– Audiobooki.

– Ponoć w życiu lepiej późno niż później...

– To znaczy: wiedziałam, że coś takiego istnieje, ale pogardzałam nimi głęboko. A tu nagle półtorej godziny marszu po plaży, jak z biczem trząsał. Taka byłam podekscytowana, że podzieliłam się radością z chłopakiem od masażu, że taki wspaniały wynalazek, a ja uważałam, że to oferta dla ćwierćinteligentów. „Trochę to było klasistowskie” – odparł masażysta.

– Głupio ci się zrobiło?

– Owszem. Ale z drugiej strony szalenie mnie podniosła na duchu świadomość klasowa u młodego pracownika sektora usług.



republikanin i jest ona – moim zdaniem – kluczem do Trumpa. On po prostu ma mentalność dwulatka.

– To nie jest mentalność, za którą przepadam.

– „W wieku dwóch lat dzieci widzą świat wyłącznie przez pryzmat swoich potrzeb i pragnień. Ponieważ nie są jeszcze w stanie zrozumieć, jak inni mogliby się poczuć w takiej samej sytuacji, zakładają, że wszyscy myślą i czują dokładnie tak samo jak one. W sytuacjach, kiedy ich zachowanie okazuje się nieakceptowane, nie są w stanie się opanować” – cytuję Drezner na wstępie z poradnika Amerykańskiej Akademii Pediatrycznej. Po czym po kolei opisuje różne wymiary infantylnego zachowania Trumpa, od dziecięcych napadów złości, po angielsku zwanych wściecznie „tantrum”, poprzez słabą kontrolę impulsów, niezdolność do skupienia uwagi na dłużej niż 12 sekund, aż po podejrzenie, że Donald dostaje za dużo czegoś, co nazywa się „screen time”, czyli czas przed ekranem.

– No dobrze, ale po cholere czytasz o Trumpie, skoro pojedłaś odpoczywać?

– To mnie relaksuje. No i wszystko wskazuje, że to przyszły prezydent USA. Najnowsze badanie, zrobione na zamówienie „Wall Street Journal” w siedmiu swingujących stanach...

– Może wyjaśnimy, że w przypadku stanów „swingowanie” nie oznacza wymieniania się partnerami seksualnymi...

– Ani muzyki synkopowanej, tylko przerzucanie się z demokratów na republikanów i z powrotem. I otóż w tych siedmiu stanach – Arizonie, Georgii, Michigan, Nevadzie, Północnej Karolinie, Pensylwanii i Wisconsin – rozstrzygną się wybory. Obecnie Trump prowadzi w sondażach we wszystkich z wyjątkiem Wisconsin – i jest to przewaga między 2 a 8 punktów. Podobne badanie zamówił w listopadzie „New York Times” i wyszło mu mniej więcej tak samo, tylko przewaga Trumpa była między 4 a 9. W Arizonie, Georgii, Michigan, Nevadzie i Karolinie Północnej Trump prowadzi we wszystkich sondażach z ostatnich pięciu miesięcy – to daje mu ponad 270 głosów elektorskich potrzebnych do zwycięstwa.

– Opowiadasz o tym z niepokojącą radością.

– A bo uważam, że Ameryka zasługuje na Donalda Trumpa.

– Ale my nie zasługujemy na takie świętowanie. Przynajmniej my dwie, bo wielu Polaków będzie w Ameryce głosować na Trumpa, a gdyby startował w Polsce, też mógłby wygrać. W końcu ma w sobie coś z Dudy, Ziobry, Morawieckiego, Obajtka... Taka krzyżówka, czyli kaczka.

– Coś w tym jest. Zaradny jak Obajtek, uczy się ciągle jak Duda, no i prawdomówny jak Morawiecki. Tylko dostojnej urody prezesa Kaczyńskiego mu brakuje.

senyszyn@wp.pl,
wolkaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 294



– No dobra, ale jak to się ma do Ameryki?

– A bo na plaży przeczytałam uszami dwie książki o Donaldzie Trumpie. Pierwsza to reporterska kronika prezydentury, autorstwa dziennikarzy „Washington Post” Philipa Ruckera i Carol Leonnig, zatytułowana „A Very Stable Genius”...

– „Bardzo zrównoważony geniusz” to chyba nie o Trumpie, bo on ani zrównoważony, ani geniusz.

– Owszem, o Trumpie. To cytat.

– Z kogo?

– Z Trumpa. Tak zwykł mówić o sobie. Druga książka nazywa się „The Toddler in Chief” i w zasadzie nie wiem, jak to przetłumaczyć. „Toddler” to dziecko w okresie niemowlęcym, a „in chief” to naczelny, głównodowodzący. Książkę napisał profesor politologii Daniel W. Drezner, skądinąd